

11446

Bibl. Jag.

IV

AP 41 a

IB/27 a

Mitryke Wandy Monne'

117A

Imperium : Austro-Hungaricum.

Regnum : Galiciae.

Districtus : Leopoliensis.

Arch-Dioecesis

Parochia

Nrus

r. l. Leopol.

47/1889

# Testimonium Ortus et Baptismi.



Ex parte Officii parochialis rit. lat. Ecclesiae ad sanctum Andream Apostolum notum testatumq fit, in libris metricalibus huius Ecclesiae tomo XII pag. 373. reperiri sequentia:

Annus, Mensis, Dies, ortus et Baptismi	Numerus domus	Nomen	Religio	Sexus	Thori	Parentes et conditio	Patrini et conditio
Anno millesimo octingente- simo quin- quagesimo / 1850: / mense Aprilii die vicesi- ma quinta / 25: / nata et die vice- sima octava / 28: / bap- tisata.	453 14	Bronislava Wanda / Binom: /  Ortus: Paulina Reiborowska Bapt: Justinus Szaflarski evops.	rom-cath.	Feminin	Regimini	Carolus, Moune c. r. geometra Cordula nata Wenz filia Leopoldi et Cordulae matris Vorbach	Michaël Moune Publicarius Mariamne Lichinska coelebs

Quas testimoniales manu propria subscribo et sigillo Ecclesiae parochialis munio.

Leopoli die 24<sup>te</sup> Januarii A. D. 18 89.



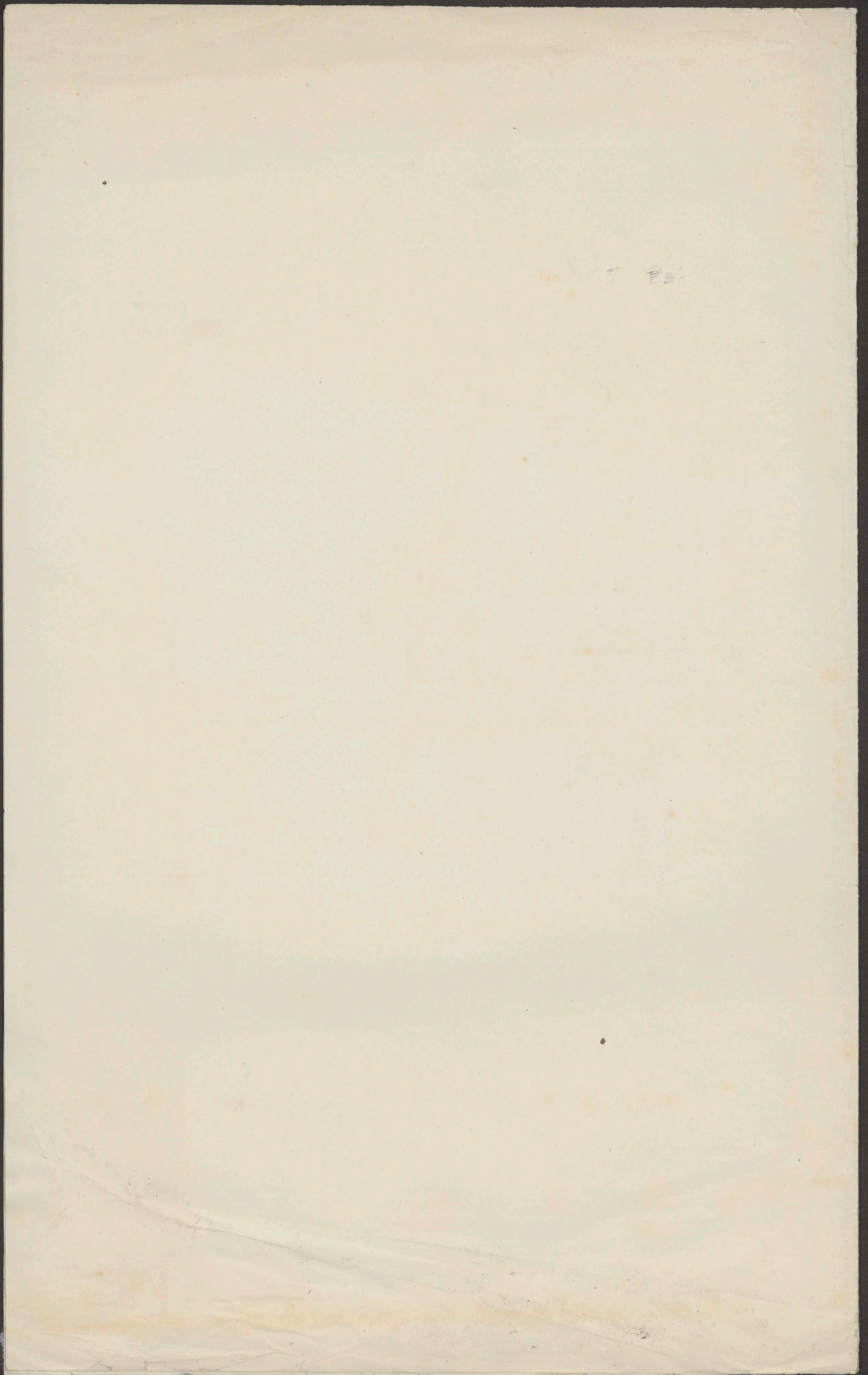
P. Apollinaris Gargulnis R.  
Ord. s. Francisci Minor. obs.  
Administr. parochiae.



Faint, illegible text or markings at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

<p>Faint text in the top-left cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the top-middle cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the top-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the top-far-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the top-furthest-right cell of the grid.</p>
<p>Faint text in the middle-left cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the middle-middle cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the middle-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the middle-far-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the middle-furthest-right cell of the grid.</p>
<p>Faint text in the lower-middle-left cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the lower-middle-middle cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the lower-middle-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the lower-middle-far-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the lower-middle-furthest-right cell of the grid.</p>
<p>Faint text in the bottom-middle-left cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the bottom-middle-middle cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the bottom-middle-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the bottom-middle-far-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the bottom-middle-furthest-right cell of the grid.</p>
<p>Faint text in the bottom-far-left cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the bottom-far-middle cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the bottom-far-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the bottom-far-far-right cell of the grid.</p>	<p>Faint text in the bottom-furthest-right cell of the grid.</p>





W 12

Wanda Młodnicka

Lapiski testamentowe  
odnośnie złożeń w lanuch  
i grotozianów

AP 644



Łasowicie 28/VI 1920.



2

Najmłodszej wnuczce mojej Anieli  
Melanji dożyje imion Wolskiej przekazuję  
niniejszem na własność złopis do następnego  
wydania Andersena i klisze w liczbie  
29<sup>ca</sup>. Jej również daję wyłączne prawo do  
następujących wydań:

- Żyła Pana Sanezo.
- Legenda Aleksandrowe.
- Na chłopcach.
- W naszych górach.
- Trupa kawalerski.

Złopis Andersena oraz z kliszami na absolutną  
własność wydawcy na wartość 11.000 zł. M.

Tamte książki za odbitki orderów zł. egzempl.  
placuję po 4.000 zł. zaś na zupełną własność  
wydawcy po 7.000 zł. M.

Wzrostki pozysane krzyci ozdeto 100. ozdamiere  
z p. Malepa jako przedstawicielem.

Krzycarnia Polska ma jeszcze dwa wzrostki  
powiastek dla dzieci niedrakhovanykh.

— Korathi Opatti z babinej tobietki  
— O trzej godzini.

Drazie ozdanie bez doich krzyci jak i  
powstorne ozdanie - 22. powiastek - i - Hazyk  
Bairni opoviedziannykh na novo - pismacram dla  
Stulka.

Opricz tego mam do draziezo ozdania:

— Elthekarda - exemplar z korekty do druku.

— Wiktorze - Pana.

— Hazyk izia & W poltarniach pracovni i  
Na prozu Stezy. jeden tom.

Do druku sed pirovory raz:

omiere - Lettere posticche da dieci do lat 18<sup>cia</sup>  
- Novici e ozsochick sfer.

topizy - Isidri. -  
- Revi + novel e feuilletoni, i rozinosci nie  
porestaviane jessere. dotajz je sta, aby  
Lela w dauym rariu wiedziata o nich, i  
zapla se<sup>z</sup> niemi na cele - rozgovie Narodowego,  
lub innego podobnego zwiztku pzyby sta pmerat  
istnieci.

Listy Froldgera, ktorych przygotowaniem do  
druku corha moze taszarie rajze sz rekee,  
i sama obine cel narodowy, na ktory dochod  
ogdasnictwa merzacz.

Listy K. Wajskiego przygotowane do druku,  
po mojej smierci maja by wydane za ceny 10.000  
M. na korzyse kosciola n. kat o Perpelmitach.  
Sta on dotpiero raczge sz stawiaci.

W zupełnem wrociu i przytomności  
pisałam i nie chce otworzyć mojej  
Anieli użyłam do pisma.

Wanda Alodnicka

4

Kasimierz 11<sup>o</sup> stycznia 1922.

O kłopotliwym ciężkim i sercowym  
odbywasz dziś spowiedź i komunię świętą jakby o  
ostatnią mego życia godzinę, kiedyś ku iżeremiu  
co do mego pochówku.

Stanowco chez bje pochowanq o dżkowej  
brumnie, która sobie nasie grozy bolszewic,,  
kij przegotowalam. Skema bje wisem wj,,  
stana, jako czarng jedwabng powstng z mo,,  
jej nazy na zone prong widai pod głowq.  
W bje nafi sq białe rżawicaki i białe ce,,  
pek. Wbrai moje wlotki o najmniej o aokożciorve

meerz: koralz, cronaq kalkz z czerwonaui  
wzpuszczami salsuz cranaq balyztoz, ktore  
obciwiazq w sretcu na dole. Na rozzi crone  
nosze szerszejki. Obecna mi wstada i adnego  
puzda sz Lofie. Wzce koronke maminz.

Proszę, abz Chen ktory sprawdzi smieci, abz  
bo kholowicz ejerlioz otworzyl antery na  
szkach lub szci, poczem razer saw kuzc stau  
uz i przewiez do kryptz beonardzistzej.

Kr. kanznik Polkowicki sauz przeprowadzic  
brunoz do grubosca na w rozlewisku 5.000.

W grobowcu na hji trumne d'pbowe ustawione  
 na spodzie. Teklowa pewno jsi nadprudziata, na  
 niej. Kalkitow na rozlepiaj w alicach, oysterach  
 klepydne o "Glowie".

Wozny o poznawshomuz e o pawic i  
 nadletwie.

Pisalam z ceta przelomowiciz, etna o mi,  
 to sierwiec Boie i teksty Jezy da onzostkich  
 k'ozgek mitaje

Wanda Mlodnicka

I believe we have found a  
new way to do things  
and it is a very good one  
I think it will be very  
useful to us.

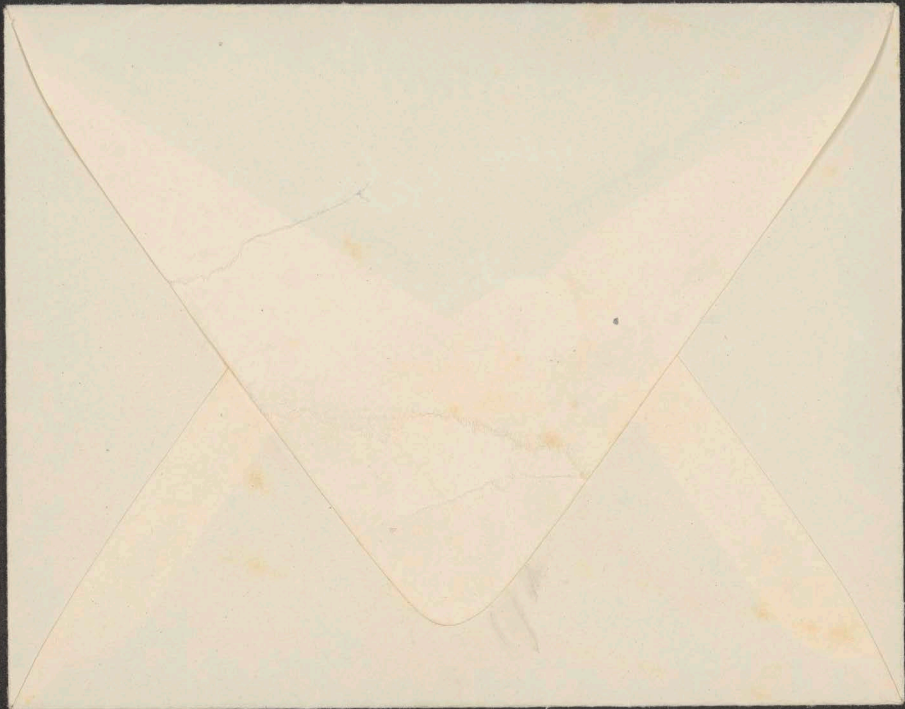
I believe we have found a  
new way to do things  
and it is a very good one  
I think it will be very  
useful to us.



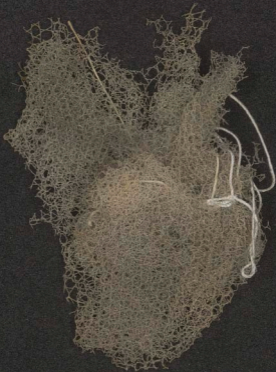
Prepared 2 Tins of  
 Botley sudu; Babi; 5  
 store; for the first  
 no Shelling d. 13/1 1860.

---

The first of the latter is  
 good. Libellula no venaria  
 ; also good and the broad  
 is very natural, as well as  
 so many —————







Starzeński Leopold

Włocławek

Sk.

Sty 22/04

AP 40

72  
7

Często nam podróżnicy prawią o brzoście  
Nigdyś rzyńskiej - zmienionej dris' w głuchą pustynię  
Był tam świat dawniej inny - bo tam kwitły niewy  
Prosty kwiaty, i kraj był swobodny, swawęlny -  
Ale po nim już pozostała dris' ręką zagłady  
Dawnych, świetnych chwil jego imitety woselbii ślady.  
Worytko zwiasty, rozszwasty cizgłych burz nawaty  
I na niwach kwitnących praśki porostaty.  
Jakby море rozległe - masz driskii przostworze  
I ty ścinaj się stato trar praśkow' morze.  
A tak niedne i' smętne są te oceany  
Le ich ciory nieprorwie pochód karawany  
I wędrowiec strudzony w tych puorwach milgwie  
A kto żył srod nich nigdyś - driskij je odbiegnie  
Kiedy swego pochodze tam zawiara ślady  
Kiedy stronci dris' musi od tych miejsc zagłady.  
Tylko mewy w polocie, gonisz w te przostworze  
Czasem skrydtem, przyradkiem śliskę tutaj z orze  
I w tym driskim, bezkudnym praśkow' oceanie  
Gdzie wiatr worytko już zatarł - ten ślad porostanie.  
Każ mi, Pani! że życie jest takla pustynię  
Bure kudy raz wionę - takiem je wazyńię.  
Stac' się smętnem, barbarowem - jego powraczenie  
A ten ślad skrydet mewy - przyjarie wspomnienie.

Lurawno

19 Lipca 878

Leopold Starosta



Leop. Jan. 8  
8

Do Pani Wandy Młodnickiej (72)

Ty bawisz Pani, bym jak biata mewka  
Latał szczęśliwy ponad falą morza.  
Lecz ten ptak także smutną piosn' wisi spiewa  
Bo on zwiastunem zwykłe bywa bora.

Wierany niepotkaj ja goni nad fale  
Taki wrywany, chwi' szybki jej lot  
W ślad za nią widać, lecz jabnis' zale  
Pewno twi w piersi ma zatruty grót.

Ty bawisz, Pani, abym piosni' miał  
Pracism kzeptanym przez mordercy cios  
Abym ze snu, uspiomych ocucit  
Ale czy oni usłyszą ten głos?

Lutnia ograna - i pracz z wiyta  
Czyi jeszcze zdola wydać jabnis' ton?  
Choi' dlon' wiaz' skosa i grama nie syta  
Jak zdobyć akord z potarganych stron?



Ty-Rakosz, Pani, abym ogniem duszy  
Ogrzewał z braci dris' więzicy chłód.

O! także istną kłotą dris' jesienną wronosy?  
To chyba zdziata wielki Niebios cud. -

Jam nie do tego! - Dziwnie moje życie!  
Juzi od bolebbi powroto jakos' w spak.  
Bom nigdy nigdy nieznanalant w tym świecie  
Co by mi wskazał chciata inny szlak. -

Gnany bez celu, przez życie zagony  
Za mną przeblenstwo Akasvera grani.  
Tys' jedna rzekita: bądź błogostawiony!  
O! za to stowo - dris'ki!... dris'ki Ci!

Jam drucie stepów - i podolskiej Tany  
Moją Ojczyznę - tam mój cały świat.  
Moją bolebbą mogity, burzany.  
A budiab z Wolcem - mój jedyny świat.

Podhamien'  
22 Lipca 878.

Leopold Staruszyński

4

5  
9

ie



Leopold Słowacki (2)

10

Szkoda róż!

Tys' mi Pani Jata róż  
Co jak koral się rumieni  
A ja sobie z tego wróżę  
Że są kwiaty dla jesieni. —  
Leć tu kwiatki z Twojej ręki  
Zbladł jak gdyby śnieg w obawę.  
On w tej zmianie przeszedł miękko  
Koralowo, schylił głowę. —  
Wiem - ta zmiana jak go różnił -  
Wiem - ta zmiana co mu wróżę.  
I dla tego rzekłem Pani:  
„Szkoda róż!... Szkoda róż! —

Jam do serca tulił kwiatki —  
Tem pociechę nieść mu chciałem.

8

Ciepła duszy mej odlateli  
Na sataunki dać jej chwałę.  
Darmo!... Twiatku z srogoniej niwy  
Czyliż jeszcze ty odzyszes?  
Czyż żalwitińsz umów srozi'liwy  
Gdy się w sroon jesienny sbrzyjes?  
Piedna rosa! Jwi skonsta!  
Lisiki rwiędy - i w zatonie -  
Jak gotyobka sinuina biata  
Gdy swe pióra składa w grobie.  
Tredko rwięty jej dawi złota.  
Jesien' robom coś nie stary -  
Ona umarta na tyszczoty.  
„Składa róży!... Składa róży!...”

8

P  
M



27



Wiesz „Opisując pszczoł włośnicę  
z brody do P. N. N.”

AP 61



22 Hrych<sup>2</sup> Zastinec<sup>4</sup> 12  
w papierach po Włodzie  
i w. listach

(Ofiaruję jak wtosom brody)  
dot. N. N.

Chciałbym kwiatami ustai dwa dougi,  
Szlac ci jak inni, rosnie bukicly,  
Lez mimo wiosny - jesze niemogz  
Nic kwitnacego dai ci nieskly. —

Serca dai nie smiem, - bo lo niewide

Donucie jedno do licniej stadi.

Brody ci zadem pod slapy scily,

Do moja broda - camplan radli!

Nigdy's strapiene zdekita lica,

Nie jako marny sroddek wtosienia,

Lez jako swiadek spowienica

Mego ucniesia, mego ciepienia...

O, w dem ciepieniu, kimal mi byt mity,

Az z bolem w sercu bytem jak w wiecie, 1

Gdy'scie wzajemnie nasie polnily: 2

Ty na moz brody - broda na ciebie! m

Dzis laozdeba ci dlamnie gnary, 3

Gdy'sz nie dal cieba dobyka schoda? 4

Gdy'sz cras welny - leglybym w raspary, 5

Skoro ogyrdiesz - pacoz mi broda? 6

Jak Dand, powlonie skaje sie mity,

Rucam daimnego zywala gnary,

Toszywam wspomieniu, jak zbytem brody

I w "faworyczek" skubam pociechy! -

dot. N. N.

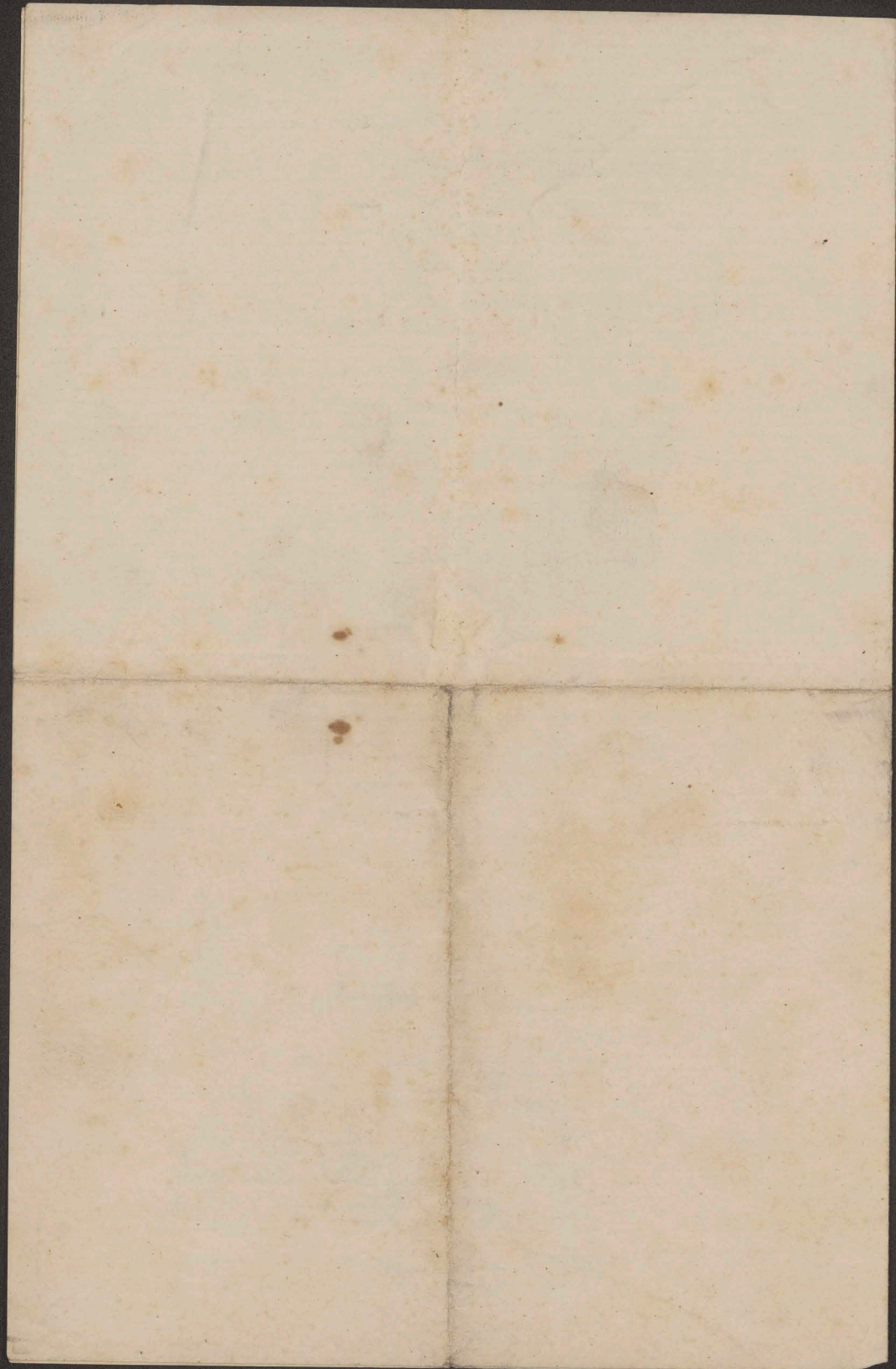
Siedre cicho i ponuro,  
 W celi mojej puchliwej,  
 A z rany waznej chmura  
 Zaspiona mysl granicy ---  
 Wszystkie nieme, wszystkie guchy,  
 Tiers strapiosa, ako suchy,  
 I jak wilk, gdy kasnu wata,  
 Zieje moja kiczeri gata -----

Nasobato grozne domy,  
 Triscia umichu spowarniane,  
 By strasliwe spokos qusmy  
 Wryetkie nemnie wypalane. ---  
 Tak skadulka moja biedna,  
 Com ja niechtyj gloszt godliwie,  
 Sloi w hacie samojebaa ---  
 - Michi moze slai szesielwie!

Der znanenica : her celu  
 Parle-monnaie spacywa w domu,  
 Szersony, serony wyjacu,  
 Rak niewinien nie nikomu!  
 Mnie cis, mnie kandeys czaa,  
 Miacz dwineronyh mid mecha,  
 Kozniawier wyiem wilkon slau,  
 W dnie goaby Szacha:

- " Tanie dohlye celo znanij?
- " Szaryj dyk diki szaryj brodie,
- " Szepan jakis nicaplary,
- " Pansku melad kacie wadrie ---

O jebze chubie umitkym to miaczo,  
 Was bowezogadni lichniassowic-dzaby,  
 Cicie pselinydta woltjensnikow karto,  
 Fichy, hotduny, ~~prawy~~ prawsi, baby ---  
 Ahu, jak wblalac zamknielej plaszynie,



"Do Panny W. M."  
wiersz Kocubla Kijpskiego  
zamieszczony w "Stresie"  
z 1868 r.

PP 41



## Treść dziewiątego zeszytu.

Bezimienna. — Powieść z końca XVIII. wieku. B. Bolesławity z ryciną. (Ciąg dalszy.)

Notatki wędrowca z musu. IV. Nraina między oceanem i Garonną przez X. Godebskiego.

Różności, poezye Teofila Lenartowicza z ryciną.

Kościół Śgo Jana Chrzciciela we Lwowie przez R. Widmana (z ryciną).

Zamek na Spiżu, podanie ludowe przez Aurelego Urbańskiego (z ryciną).

(\*) Fraszka, przez Paulinę L. Wilkońską (ciąg dalszy).

Kronika z kraju i ze świata.

Zapiski z bibliografii polskiej.

\* Obihód 300 letnicy rocznicy neei Litwy z Polskie na dein 12. sierpnia 1861 r. Rysunell A. Grottgera.



# BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy).

LIX.

Tymczasem powóz ulicami bocznymi zajechał na Stare Miasto, a z niego wysunął się pod tę część zamku, która przytykała i łączyła się z kościołem św. Jana. Tu pusto było zupełnie. Staęli. Kobięty i Paproński mający służyć za świadka wysiedli, Sojka ich prowadził. Zastukano raz, dwa i dwa razy po dwa do bramy, mała furtka otwarła się milcząco. Weszli w jeden z podwórzów zamkowych, tu ciemno było; wszystko się zdawało we śnie pogrążone. Sojka zapalił małą przygotowaną latareńkę i poprowadził ich na galerię, a potem korytarzem długim i pustym... W milczeniu przeszli schody jedne, zwrócili się, otwarto kilkoro drzwi, przesunęli się przez kilka sal pustych, i znaleźli w małej sklepionej komnacie, przybranej naksztalt kapliczki domowej. Mały ale dość ozdobny ołtarz stał w głębi, na nim paliły się już świece... Ksiądz starszek z agendką w ręku czekał przed ołtarzem w komży i stule.

W cieniu nisz kaplicznych widać było kilka osób... W górze przez szklane okno łoży zdawała się chwilami bieleć upudrowana głowa i twarz blada.

Gdy suknia Heli zaszeleściła w progu, generał Puzonów stojący u wnijścia, ubrany po cywilnemu, zbliżył się i podał jej rękę. Nie mówiąc do siebie słowa podeszli do ołtarza.

— To matka moja i świadek mój — odezwała się półgłosem Helena.

Zesz. IX.

Wśród ciszy obrzęd się rozpoczął. Ksiądz starszek, trochę przelekły, odprawiał go prędko jakby się przerwania obawiał... niekiedy oczyma mierzył drzwi i wstrzymywał głos, gdy szmer posłyszał. Jąkał się, niedowidzał w agendce, ale naostatek dopełniła się uroczystość ze wszelkimi wymaganiami formalnościami. Drżącą ręką kapłan związane pobłogosławił dłonie.

Odstąpiwszy nieco od ołtarza, przy którym Helena uklękła się modlić jeszcze, generał czekał na nią... z twarzy jego widać było radość, niecierpliwosć, dumę. Patrzył na tę poważną piękność klęczącą i czuł, że się nią będzie mógł, choćby na najświetniejszym pochłubić dworze. Gdy nareszcie po przedłużonej modlitwie Helena wstała, generał podał jej rękę i zabierał się prowadzić — ale ona zlekka usunawszy dłoń jego — odezwała się podnosząc czoło z powagą i spokojem:

— Panowie, ten człowiek, którego widzicie, który mi przysięgł i któremu ja przysięgła, był mi winien ten ślub za popełniony występki... przyszedł tu po to tylko, aby odejść usprawiedliwioną i aby go upokorzyć... ale żyć z nim nie mogę i nie będę.

Przysięgam... tak! dotrzymam tej przysięgi wierności... nikomu w życiu drugi raz ślubować nie będę i pozostanę mu wierna... ale żoną jego — nigdy!

To mówiąc zmierzyła go piorunującym wzrokiem. Generał zbladł, zakapiał z gniewu, dwaj jego towarzysze podbiegli i pochwycili go, obawiając się, aby w kaplicy gwałtu



się jakiego nie dopuścił; tymczasem Helena ukłękła raz jeszcze, chwyciła matkę za rękę i rozkazująco zawołała do Sojki, który stał z latarką u drzwi —

Prowadź nas nazad!

Jenerał wrywał się, trzymano go, przyjaciele wymogli przecie, iż się dał uspokoić. Namowy towarzyszków czy jakieś dumy uczucie wstrzymały go od napaści, pogoni, nawet od wyraźniejszej odpowiedzi. Śmiał się tylko szydersko.

Tak od stóp ołtarza rozeszli się poślubieni, z podziwem i przestraczem świadków... Jeden ksiądz w początku słowy łagodnymi starał się nakłonić Helenę do przebaczenia, ale ona pocałowawszy go w rękę, głową tylko potrząsnęła i odeszła.

Sójka równie przerażony jak inni, idąc nazad przez korytarze... zataczał się i ślaniał... z pod oka patrzył na Helenę... mrucząc...

— Ależ to panie kobieta! ależ to historia... a niechże...

Doszli tak wreszcie do powozu, który stał przy bramie; Helena przez uczucie jakiegoś wstrętu i obawy nie chciała doń sięść... poszła do dorożki pieszo. Paproński całą drogę był posepny i milczący, Ksawerowa ścisnęła ją i płakała. W bramie domu, Helena podziękowała świadkowi, który odpowiedzieć jej nie umiał nawet — a sama weszła prędko na górę.

— To mój wieczór godowy! — zawołała padając na kolana — to wesele moje!... wesele sieroty!... ślub jak grób...

LX.

W małym szyneczku w rogu Bielańskiej ulicy i Tłómackiego... pod wieczór, siedziało dwóch niepoczesnych ludzi u butelki miodu, który zdawał się nie wiele więcej być wart od nich. Oba jakoś pili smętnie i wdychali.

Byli sami, łożowa świeczka zwieszona na bok pryskała w lichtarzu, jakby drzemiąc i budząc się zaspiana... w drugiej izbie chłopak posługujący ręce w tył założywszy kiwał się na ławie pod piecem. Obraz był flamandzki, ale nie dobrego pędzla i oświecony nie osobiłwie.

— Mój Dyzmo — rzekł pierwszy, który miał nos okryty ogromnymi brodawkami, łysą zupełnie głowę i wasy twarde roszące do góry nakształt szczeciny. — Mój kochany Dyzmo, już się to tam w życiu różne praktykowało różności — ale takiego głupiego interesu to nigdy.

Towarzysz, niepozorne człeczce żółte ze spiczastym nosem jakby cudzym, bo czerwono-fioletowym, gdy reszta twarzy była cytrynowej barwy, lecz z oczyma nader bystremi, nadpił miodu, splunął i rzekł:

— Ale to mospanie tego, choć ty Cyprusiu... interes głupi nie jest, wcale nie jest.

— Żle idzie, do djabła.

— Co źle idzie! Albo to my temu choćby winni? Trudno znowu szturm do kamienicy przypuścić.

— No — a ten się niecierpliwi i gniewa.

— To co? kiedy płaci... Rzecz jest mospanie choćby tego — cała w tem iż płaci. Nad siły znowu nie pociągnie nikt, choćby tego.

— No — ale co będzie dalej?

— A dalej? Jeżeli wyjdzie w takiej godzinie, że będzie można, i w miejscu, że się udać może... to się pochwyć, gębę zatka... delikatnie i w powóz...

— A ten powóz to już tyle czasu stoi...

— To cóż? Cóż panie tego choćby i stał, kiedy nie można... to nie można...

— Powiedźże — odezwał się Cyprus brodawkowaty... jak się wam zdaje, czy ten stary się w niej kocha... czy co?...

— A no, musi się kochać, bo na cóżby mu się przydała? Toć z nią pacierzy pewnie odmawiać nie będzie. Ale nam co do tego!

— Taki stary!!

— Stary... to nic nie szkodzi, u nich ta waryacya całe życie trwa. Wać Pan widzisz, to widocznie wielki pan, a oni mają bestye takie sposoby, że gdy strupieszje już, naleje sobie w gardło leku i odmłodzi się. Oni żyją po sto lat, to my tylko chude pacholki umierać musimy bez czasu...

Pomilczeli trochę...

— Jak się WPanu zdaje — spytał Cyprus Brodawka — kiedy się też to skończy, bo to grunt jest, aby pieniądze schować do kieszeni... a teraz że daje nam strawne... co to znaczy! człek zje, wypije, kupi tabaki i goły...

— Mosanie, choćby tego — odpowiedział Dyzma z powagą — ty nie jesteś kalkulator... Co tobie z pieniędzy grubszych choćbyś je wziął? He! Ja tobie powiem zaraz co choćby będzie. Weźmiesz na swoją część czy kilka czy kilkanaście talarów choćby tego... i naprzód się upijesz...

— A ty?

— A! i ja się upiję choćby tego, ale inaczej... Ty jak się upijesz, masz zaraz impet do kart... No — choćbyś siadł, to albo ja albo kto z brzegu cię orznie, ale taki orznie, i jutro będziesz goły znowu.

— E! e! — westchnął Cyprus — gdybyście nie byli takie szelmy...

— A znajdziesz ty mi jednego z tych, co w karty grają, żeby szelma nie był? — spytał Dyzma. — Ty masz taką żyłkę a nawet żyłę, że nie strzymasz.

— No! ja ci się klnę, zobaczysz że was teraz wszystkich ogram... do koszuli... Byleśmy tę panienkę pochwycili... a pieniądze... zobaczycie...

Ale ja taki wracam do tego, że interes głupi! Ona gotowa tam siedzieć rok i my jej nie wypłoszymy... Żeby tak jaka zacna kobiecina, coby ją pod jakim pozorem wyprosila?

— Prawda — gdzie djabeł nie może babę posyła... ale znowu!!

— Trzeba to jemu powiedzieć, bo tak znowu czekaj, czekaj na strawnem...

— Spiesz ci się... a jak krzyku narobi i do kozy...

— A chustki! a ręce...

— Brońże Boże udusim...

— No... na to są u nich doktory, niechno jej dadzą tego lekarstwa co odmladza...

Rozśmieli się oba... Cyprus dobył karty zatłuszczone i zaczęli grać w elbika na kredyt...

Byli to podobno ci sami ludzie, których trwożliwa Starościna widziała z okien czatujących w ulicy; bo istotnie nie schodzili prawie z przeciwka, szczególniej wieczorami. Na Tłumackiem w rogu stał powóz zamknięty, na którego koźle furman zawsze drzémał. Brano go pospolicie za najemną dryndę, której jakoś szczęście nie służyło, bo jej nikt nigdy nie brał.

Furman znać był ospały, gdyż nawet jeżeli przychodzić chciał nająć, pomruczawszy odwracał się na drugą stronę, otulał płaszczem i spał znowu.

LXI.

Ulice pełne były ludu... cała stolica jednym głosem brzmiała: Naczelnik narodu!! Wojska dotąd zwycięskie ciągnęły przez miasto na okopy... na czele ich z dobytym pałaszem jechał konno Tadeusz Kościuszko, ów wybraniec kraju... ukochany, ale smutny i ponury. Laury i zielone gałęzie i wieńce kwiatów rzucano mu pod nogi — uśmiechnął się tęskno, ale z czoła nie schodziła chmura.

Tłum i ścisł wszędzie po drodze, którą szły wojska, był taki, że kobiety omdlewały — z okien wisały kobierce, wstęgi, opony, a strojne panie wołaniem i bukietami starały się ściągnąć na siebie oczy — wódz rzadko spojrzał a rzadziej się jeszcze uśmiechnął...

Aż na zawrocie ulicy... oczy jego padły na tłum i zatrzymały się wryte w jedno miejsce, ręka machinalnie ściągnęła konia, tak że stanął i spał się. W rogu kamienicy przy ścianie stały w ciżbie dwie kobiety, jedna czarno ubrana z ręką na temblaku, druga uboga i skromnie z twarzą bladą i smętną, z siwiejącymi włosami u skroni.

Naczelnik rękę podniósł do czapki, uśmiechnął się do nich... ale zatrzymać nie mógł, nieco tylko głowę odwrócił.

Kobięta w czarnej sukni krzyknęła... Naczelnik dojrzał że omdlała, chciałby był może stanąć, ale wojsko następowało, konie się parły... ludzi tysiące patrzyło, siwy się pod nim targał... musiał ruszyć dalej.

Z ręką na temblaku kobięta leżała... tłum koło niej, ratował kto jak mógł, chłopcy pobiegli po wodę, panie z pierwszego piętra przysłały jakąś wódkę... ulicznik jeden pióro smalił, aby ją ocucić... baby krzyczały, że zmarłego by piskiem mogły obudzić... Wniesiono chorą do kamienicy...

Z przeciwnej strony w oknie domu stał z okiem wlepionem w tę kobietę wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu i kapeluszu włoskim nasuniętym na oczy... pałając jakby gniewem i niecierpliwością... Dalej jeszcze w drugim oknie kobięta blada, pięknych rysów, nie młoda z rękami złożonemi jak do modlitwy wpatrywała się w mdlejącą i łyzy jej ciekły po twarzy. Zdawała się sama blizką omdlenia.

Z górnego piętra wychylony w czapce niepozornej, mężczyzna młody jeszcze, z wąsami, blady, jakichś rysów nie polskich, spoglądał to na idące wojsko, to na kobietę i śmiał się ironicznie... złośliwie. Z pod płaszcza wyglądała mu zaciśnięta dłoń grożąca, a z pod warg wąskich, białe drobne zcięte zęby... mrucał podśpiewując pod nosem... *Rira bien qui rira le dernier!*

Mężczyzna w kapeluszu włoskim, gdy Naczelnik spojrzał, gdy kobięta omdlała, gdy tłum ją otoczył, oczyma zmierzył ich wszystkich i targał na sobie płaszcz aksamitny.

— Dość że już tego! — rzekł po cichu — brakło żeby ją palcami wytykano... żeby o niej bajki pletli, żeby porównywano, domniemywano się... bądź co bądź... skończyć muszę.

To mówiąc zszedł ze schodów domu, wmięszął się w tłum, prześliznął niepostrzeżony w róg Bielańskiej ulicy, i obejrawszy do koła, wszedł do znajomego nam szyneczku, w którym Dyzma z Cyprusiem grali znowu w elbika.

Nie mówiąc słowa pochwycił Dyzmę za ramię i wypchnął go przezedrzwie, przeszli na Tłumackie...

— Co myślicie próżniaki i nieponie? — zawołał — długo to tego będzie?

— JW. panie, choćby tego — odparł Dyzma wzruszony niespodzianem najściem — cóż my zrobimy, kiedy nie wychodzi?

— Nie wychodzi? I teraz jest w mieście.

— W biały dzień, choćby tego JPanie, to niepodobna.

— A wieczór nie wyjdzie, więc...

— Trzeba choćby czekać okoliczności.

— Do sądnego dnia?

— Tego wiedzieć nie można... może i rok trwać, jeżeli się do tego baba nie weźmie... Tylko kobiecina jaka poczciwa co może ją wywabić... o mroku...

Mężczyzna pomyślał... Dyzmie wskazał oczyma, aby szedł.

— Wywabią ją... ale bacność...

— A już co się tyczy nas, choćby tego... może Jpan być spokojny, że zakneblujem i w powóz ją oddamy, jak się należy.

Nie odpowiadając słowa kłaniającemu się słudze, niezajomy zawrócił się niecierpliwie i poszedł żywo.

— Ot to, choćby tego, mu pilno! — mruknął Dyzma... a nawet na piwo dziś nie dał... taki czegoś sierzdzisty... No! ale jak babę pośle, to się sporządzi jak należy.

LXII.

Ciemno, cicho było w Ksawerowej mieszkaniu... Helena spojrziała na rękę zranioną jakby pytała, rychło się zgoi i władnąc sobą pozwoli.

— A cóż? — wołała z zapalem do Ksawerowej zamyślanej — a cóż? gdym mówiła wam że to mąż wielki! że to nie jest człowiek pospolity... czy kłamałam, czym marzyła? Czy serce źle mi naówczas wróżyło? alem tylko spojrzeć nań mogła i — pożegnać.

O! teraz — dodała — stokroć jeszcze więcej chcę dopełnić postanowienia mego... Pójdę, pójdę walczyć za ojczyznę... Oddam jej życie złamane... ręka się goi, siła powraca, utrzymam karabin... pójdę z nim! za nim...

— Zlitujże się — poczęła Ksawerowa — to już tak coś dzikiego a niesłychanego, że ci się chyba z desperacyi zamarzyć mogło. Ani ty tam potrzebna, ani ci to przystoi!

Hela nie odpowiedziała nic, ale znać było z wyrazu twarzy, iż się od zamiaru odwieść nie dała.

— O! jak mi się dziś — rzekła po chwili — ta myśl uśmiecha! Wszak on będzie wojskami dowodził. Mnie nikt nie pozna... będę go zasłaniać i bronić... zginę w jego oczach śmiercią bohaterską. Nie jestże to stokroć słodsze, niż gnić w tem życiu bez nadziei i przyszłości.

Ksawerowa głową tylko i ramionami wzruszyła, nie chcąc się już sprzeciwiać, wzięła to za marzenie tak dziwne i niepodobne do spełnienia, iż się go nawet nie lękała. Rozmawiały o rzeczach obojętnych, gdyż matka starała się umyślnie zwrócić do innego przedmiotu, gdy we drzwiach zaszeleściła suknia kobiety. Nieznajoma całkiem twarz ukazała się przez drzwi pół otwarte.

Była to kobieta niemłoda, twarzy niemiłej, ruchliwej, konwulsyjnymi jakimiś minami zeszpeconej. Zaraz z progu, wyciągnawszy szyję, obejrzała niespokojnie izdebkę, osoby w niej znajdujące się... skłoniła się bojaźliwie, zaczęła na sobie suknię szarpać i poprawiać... oglądać, krygować... dygać i śmiać się.

— Wszak panna Helena? — spytała patrząc na ranę.

— Ja jestem, albo raczej byłam nią — odpowiedziała zbliżając się Helena — bo teraz wyszłam za mąż.

— Ale... wychowanka pani Ksawerowej?

— Tak jest, moja...

Przybyła pani zamilkła... szukała czegoś w woreczku, spuściła głowę, podniosła oczy, odkaszlnęła, podeszła krok i szepnęła Helenie do ucha —

— Dwa słóweczka... pod sekretem!

— Przed matką moją, ja nie mam tajemnic — zawołała cofając się Hela.

— A no jeżeli tak... to bardzo ślicznie, bardzo ślicznie...

Tu zatrzymała się, poczęła znowu się krzywić, miotać i wykrztusiła prędko a cicho.

— Pewna osoba, którą los pani żywo obchodzi — tak, żywo obchodzi — powtórzyła śmiejąc się — życzy sobie

dla nader ważnego interesu... nader ważnego! widzieć się z panią... natychmiast! natychmiast! Jest tego pilna, pilna potrzeba... a ja panią zaprowadzę... trzy kroki...

Helena spojrziała na matkę, matka na nią, w obu ta kobieta wcale nie obudziła zaufanie, sam jej pospiech i niepokój podejrzenie wywoływał.

Helena zrazu nie umiała nawet nic odpowiedzieć, przyszło jej na myśl, że choć nie dosyć trafny był wybór posłańca, wzywano ją może... do tajemniczej matki... do tej, która ją raz ucałowała... ze łzami. Ale mógł też to być zarówno podstęp pana generała. Zawahały się.

Matka byłaby pewnie użyła swej towarzyszki, już przynajmniej z twarzy znanej Ksawerowej.

Wdowę tknęło w serce jakby przecucie... Odwiodła Helę na stronę i rzekła jej po cichu — Zaklinam cię, proszę, nakazuję, nie idź...

Tymczasem posłannica bardzo niespokojnie rzucała oczyma, kaszlała, udawała obojętną, ale widocznie była pomieszaną i niecierpliwą.

— No jakże, idziemy? prawda? idziemy! Trzy kroki, nie daleczko... a ja już zaprowadzę i odprowadzę i proszę się tylko niczego nie lękać... Niech pani się ubierze i... ot, idźmy.

— Nie — odpowiedziała Helena — widzisz pani rękę moją, jestem ranna, nie mogę wyjść, mam siostrę chorą... Osoba, która się mną interesuje, raczy sama nas odwiedzić, może być pewną, że tu nikogo nie znajdzie.

— Ale ona wychodzić nie może! żywo przerwała nieznajoma — pani źle czynisz... słowo daję, pani na tem wiele, wiele utracisz... Pani się nie wiedzieć czego boi...

— Ja się niczego nie lękam, a pójść nie mogę...

— Ale my tu mamy powóz, to pół godziny czasu.

— Upewniam panią, że nie pójdzie — dodała Ksawerowa — to próżno...

— Smieszna rzecz! szept! narady! niedowierzenie! Czegoż się panie obawiają... ja jestem osobą też uczciwą.

— Bardzo wierzę — odezwała się wdowa — ale pani nam jesteście nieznajomą... Helena chora, a ja jej wyjść nie pozwolę.

— I ja nie pójdę — dodała Helena — stanowczo mówię pani — nie pójdę.

Przybyłej Jejmości zaiskrzyły się oczy, zaśmiała się sucho, złośliwie.

— Ale bardzo dobrze! ale mniejsza o to! jak panie chcą! mnie o to nie idzie, bynajmniej... robiłam łaskę ofiarując pośrednictwo... Jeżeli się na tem dużo, dużo, dużo straci... cóż mnie to ma obchodzić... A straci się, to pewna, tyle tylko mówię... straci!

Chciała odejść niby i zwróciła się powtarzając jeszcze.

— Dobranoc... jak wola.

Potem od progu jeszcze zawołała:

— Daję chwilę do namysłu!

- Nie mogę wyjść —
- Nie pozwolę jej wychodzić! -- odpowiedziały kobiety.
- Ale to jest śmieszne... słowo daję, śmieszne... więc żegnam — powtórzyła jeszcze kobieta.
- Żegnamy panią.
- Dobranoc... jak wola...
- Dobranoc...

Tak się jej ledwie pozbyły... Z niecierpliwością zbiegła ze schodów, zatrzymując się parę razy, jakby czekała, czy za nią nie gonią, jakby sama powrócić chciała... aż w końcu pomrukując coś gniewna, zeszła na pierwsze piętro.

Dziwnym wypadkiem Starościna, która we dnie wychodzić się obawiała, właśnie tę chwilę wieczorną obrała dla wymknięcia się z domu. Okryta czarnym kwefikiem wysuwała się ostrożnie z bramy tak, że wysłanka krok w krok szła tuż za nią. Zeszły razem ze schodów, do bramy, w ulicę... Traf chciał też, by się obie w jedną skierowały potem stronę, ale zaledwie kilka kroków Starościna postąpiła ku Tłumackiemu, gdy dwóch silnych ludzi rzuciło się na nią z obu stron, jeden z nich usta jej chustką zatulił, i niosąc na rękach popędzili z nią do powozu stojącego w rogu ulicy. Tu rzucili ją we drzwiczki otwarte, powóz zamknięto i konie, które wypoczęły były, stojąc dni kilkanaście, zacięte silnie poleciały galopem.

Nieznamoma jejmość, która powoli się za nią wlekła, zgryziona niepowodzeniem swojego poselstwa, stanęła w początku osłupiała, rzuciła się aby ludzi powstrzymać, domyśliwszy się pewnie jakiejś omyłki, ale na nią nie uważano. Nim się zebrała zaprotestować, porwanie w gnieniu oka było faktem spełnionym, a karetą uniosła nieszczęśliwą, przelęknioną Betinę.

Kobieta stała zamyślona, pokiwała głową, pomruczała coś do siebie, ruszyła ramionami, rozśmiała się i w mroku nocnym znikła pomiędzy domami.

Dyzma tegoż wieczora upił się jak przewidywano, grał w elbika i poszło mu tak nieszczęśliwie, że nietylko zarobione pieniądze, ale część stroju i nieodbicie potrzebne toaletowe przybory zostawił w rękach przyjaciół.

LXIII.

Jakkolwiek los Starościnej niewiele czytelników obchodzić może, zważywszy jednak iż cierpiała niezasłużenie za cudze grzechy, musimy kilka słów opisowi tego, co ją spotkało, poświęcić. Mimo że w życiu Starościnej nie zbywało na różnych przygodach, pierwszy to jednak raz trafiło się jej w ten sposób być gwałtownie uwięzioną. Bywała porywaną ale mniej podstępnie, i z oporem tylko dla przyzwyczajenia okazującym. Ten rapt wydał się jej dla towarzyszących mu okoliczności groźniejszym niż wszystkie inne. Naprzód nie mogła przypuszczać, aby pobudką do niego

miała być miłość nieszczęśliwa, gdyż zakochany byłby wprzód zapewne łagodniejszych próbował środków. Lękała się zemsty rewolucji nad przyjaciółką Moskali, ale i ta inaczej by się pewnie była objawiła. Ostatnie i jedyne prawdopodobne przypuszczenie było, że mogli od niej żądać pieniędzy... w istocie wychodziła zawsze obładowana w precjoza i weksle; tym razem miała je również przy sobie. Ale mieliby je czas wydrzeć natychmiast w powozie, do którego wrzucona z jakimś jegomością grożącym jej, jeźliby krzyczeć śmiała... wcale nie została odartą... Upewnił ją też, że o życie wcale się obawiać nie ma. Groźby uczyniły ją niemą, powóz leciał po bruku szybko, firanki były pospuszczane, mężczyzna silnie pochwywszy trzymał ją za rękę. Starościna parę razy chciała się rzucić ku oknu, ale widok pistoletu... zmusił ją siedzieć spokojnie.

Nie mogła wcale rozmierzyć czasu, tak była pomieszana. Jazda szalona trwała nie zbyt długo, na ostatek karetą stuknęła o próg we wrotach i zatrzymała się nagle, otworzono drzwiczki, głos z zewnątrz kazał jej wysiadać. Znalazła się na progu gmachu czarnego i posępnego, otoczonego podwórzem zamkniętym wysokimi murami. Mężczyzna który ją przywiózł, wyprowadziwszy tylko, siadł zaraz nazad do powozu i wyjeżdżać kazał, a strwożoną i drżącą kobietę wciągnięto do ciemnego korytarza, którego drzwi się za nią zatrzasnęły.

Tu dopiero postrzegła Starościna, że wprowadzająca ją do tego, jak się jej zdawało, więzienia, była kobietą, ubrana czarno, jakby po zakonnemu i domyśliła się, że musiała być w klasztorze. Słabe światło lampy palącej się przed wielkim krucyfikssem drewnianym w głębi, oświecało ciche, jak grób ponure i smutne, długie, czarne galerje.

— Proszę pani na górę! — powtórzył głos przewodniczki raz i drugi.

— Ale cóż to jest! co za gwałt! kto mnie tu przywiózł? — wołała Starościna.

— Wszystkiego się pani dowie od matki przełożonej — odpowiedziała jej podziwła kobieta — niech pani idzie do przeznaczonej celi.

Betina oparłszy się o mur płakała... ale w końcu pomyślawszy, że w rozmowie może się to wyjaśnić... powlokła się na piętro. Tu otwarły się drzwi czarne głęboko osadzone w murze i pokazała izdebka mała, schludna, biała ale nadzwyczajnej prostoty, niemal nagości. Na stole paliła się świeca; w kącie stało łóżeczko wązkie, klęcznik przy niem i krzyż. Okno przerzynały kraty, a z za nich na jaśniejszem nieco niebie przeglądały czarno gałęzie ogrodu.

Chłód tych murów owiał biedną Starościnej, która upadła przerażona na krzesło. W tem szybki krok dał się słyszeć w korytarzu, u drzwi siostra, która przyprowadziła Starościnej przyklekła, i weszła osoba w wieku ubrana czarno z krzyżem na piersi. Betina porwała się z siedzenia ku niej.

— Zlituj się pani, wytłumacz mi... co to jest! gwałt! omyłka! jam nie nie winna.

Ksieni skinęła na siostrę, aby odeszła, drzwi się zamknęły.

— Siadaj pani, uspokój się — rzekła — nic ci tu złego nie grozi.

— Ale za cóż mam być zamkniętą?

— Posłuchaj pani — rzekła łagodnie Ksieni — są wypadki, w których dla spokoju rodzin, dla ich sławy, nieubłagana konieczność zmusza chwilowo usunąć od świata osoby, których swoboda zagraża drugim niewolą. Z mocy danych mi z góry, od mojej władzy rozkazów, którym być muszę posłuszną, obowiązana byłam przyjąć tu panią, dać jej wszelkie wygody, i o nic jej nie pytać, w żadne się nie wdawać tłumaczenia... nie słuchać ich i nie odpowiadać... Myśmy do ścisłej obedyencji obowiązane, pobudki tego chwilowego zamknięcia pani są i pozostaną mi nieznanne... mogę tylko spełnić jej życzenia, jeźlibyś czego potrzebowała.

Starościna porwała się za włosy, zaczęła płakać i krzyczeć jak dziecko.

— Ja tu oszaleję — zawołała — to zbrodnia, lub omyłka, jam nie nie winna, ja tego nie rozumiem... nie mam żadnej familii... nikt do mnie nie ma prawa.

— Wszystko to, kochana pani do mnie nie należy — odparła Ksieni — racz się pani uspokoić i powiedzieć mi tylko, czém jej służyć mogę.

Ale Betina płakała.

— Uspokój się pani, bądź co bądź, to długo trwać nie może... a przecież u nas nic nie grozi.

Słów brakło Staroście zachodzącej się od płaczu.

Ksieni sądziła, że właściwiej będzie zostawić ją samą.

— Poleciłam pani dać jak najwygodniejszy pokój, widzę że mnie niezrozumiano... przejdziemy może do weselszego mieszkania.

I tego Betina słuchać nie chciała.

— Sądzę że rozważa własna najlepiej panią uspokoi — rzekła staruszka — i ukłoniwszy się nieutulonej — odeszła.

#### LXIV.

Wdowa po wyjściu nieznajomej kobiety od siebie, przez ciekawość chciała zobaczyć, w którą się uda stronę ta tajemnicza posłanka; otwarłszy więc okno pilnowała... Widziała ją wychodzącą z bramy, a po przedzie idącą Staroście, po ubraniu i po chodzie poznała; była więc mimowolnym świadkiem całej sceny porwania... Postrzegła iż kobieta za nią idąca chciała mu zapobiedz. Nie mogła wątpić, iż zasadzka, w którą Starościna wpadła omyłką, przygotowana była na Helenę. Krzyknęła z podziwu i oburzenia.

— Helo! — zawołała — a! to była zdrada! patrz! Staroście, która wyszła w tej chwili, zamiast ciebie porwano.

Obie kobiety żywo zajęte wypadkiem zbiegły na pierwsze piętro, i dowiedziały się od sługi, że Starościna istotnie wyszła przed chwilą. Nie było więc wątpliwości, iż szczęściem tylko uniknęła Helena jakiegoś podstępu, o który nie posądzała kogo innego, tylko Puzonowa.

Trwoga i zamieszanie wzniecone tą przygodą jeszcze się nie uspokoiły, gdy — jakby naumyślnie tego wieczora wszystko się razem zbiegać miało... weszła szybko kobieta, która niedawno towarzyszyła poważnej niewieście, (za matkę Heleny uważanej przez Ksawerowę).

Wbiegła ona drżąc, z obawą, oczyma spiesźnie rozglądając się po mieszkaniu, a widząc dwie kobiety strwożone i pomieszane, w pierwszej chwili odezwać się nie śmiała. Z pospiechu jej i wyrazu twarzy wnosić było można, iż przychodziła także z poselstwem ważnym.

— Znajdujesz nas, dobra pani — odezwała spiesząc na powitanie jej Ksawerowa — w trwodze i niepokoju z powodu wypadku, który się stał przed chwilą.

— A! cóż się stało?

— Niema pół godziny — przybyła tu jakaś nieznajoma kobieta, domagając się od Heleny, aby z nią natychmiast szła dla jakiegoś tajemniczego interesu, niecierpiącego zwłoki. W początku myślałyśmy obie, że może... osoba ta, która tu pani pierwszą razą towarzyszyła, a która nam bytności tu swej tak dobroczynną zostawiła pamiątkę... wysłała ją po Helenę.

— A! na Boga! — z trwogą zakrzyknęła przybyła — toby być nie mogło!

— Odradziłam Helenie ażeby nie szła... wieszże pani co się stało? Oto omyłką widząc tę kobietę wychodzącą z naszego domu z inną, obcą, która ją wypadkiem poprzedzała, porwano do powozu i uwieziono... naszą sąsiadkę Staroście.

Przybyła wdrygnęła zakrywając sobie oczy.

— Łaska Boża ocaliła ją! — zawołała — ale omyłka odkryć się musi, a niebezpieczeństwo grozić będzie. Jestem właśnie wysłaną do was, abym wam, którzy jej zdradzić nie możecie, wyjawiała część tajemnicy, dla waszego spokoju i bezpieczeństwa potrzebnej.

Pani ta, którą widziałyście ze mną, jest — jakieście domyślać się mogły, w istocie matką Heleny. Ale Helena jest dziećciem, z którym nieszczęśliwa ukrywać się musiała. Mąż podejrywał ją, śledził i pilnuje dotąd, w obawie o sławę jej i swoją; on gotów jest na wszystko, byle zatrzeć ślad słabości. Wymogła na nim pani, iż na życie jej córki nastawać nie będzie, ale nieszczęśliwe podobieństwo twarzy go niepokoi, postanowił uwieść za kraj Helenę i umieścić ją, zamknąć gdzieś daleko... zapewne w klasztorze... któż zgadnie zresztą, co on wymyśleć może, by się ztąd jej pozbyć!

Zamach dzisiejszy, o którym ja wcześniej przychodząc byłabym was ostrzegła, był przeciw niej wymierzony. Na

Boga niechże ona nie wychodzi, niech się nie pokazuje, ukrywa... a może znajdują się jakie środki... może potrafimy zabezpieczyć od dalszego prześladowania.

Ale czekaj pani... po tych wypadkach — dodała kobieta — i mnie też nieznałomej łatwo możecie nie ufać... Oto jest od matki dla Heleny pierścień i — medaljon.

Helena spojrziała mimowolnie — był to drugi medalion zupełnie podobny do tego, który miała zostawiony przez Swobodę... załamała ręce i pobladła.

— On więc był ojcem moim! — zawołała. — Wyrazy te tylko dla Ksawerowej były zrozumiałe... Hela stała zdreptała, wzięła medaljon, lży się jej potoczyły — całując go...

— Cóż mam czynić? — spytała — gdzie się udać? Nie wolnoż mi choć na chwilę, raz zobaczyć jeszcze tej, której nie mam prawa dać imienia matki?

— O ile wiem od pani — odezwała się kobieta — wyrażono na niej przysięgę, że nigdy dobrowolnie szukać was i starać się zbliżyć nie będzie. Byłoby to dla niej osłoda, pociecha, życiem... ale o was idzie... bobyście wy przypłacić mogli...

Hela pochwyliła ją za rękę.

— Jesteś jej powiernicą i przyjaciółką — rzekła — będziesz wiedziała co jej zwierzyć możesz, aby macierzyńskie serce nie pękło. Kto wie co się stanie ze mną, niech wie o losie moim... i o tem com wycierpiała...

Ksawerowa chciała ją powstrzymać.

— Nie — rzekła Helena — tyś matką i ona mi jest matką, winnam i jej spowiedź z doli mojej, winnam i od niej rady zasięgnąć co czynić... Życie mi cięży.

Z siłą i energią, na którą się zdobyła, poczęła Helena opowiadanie przygód swych lat ostatnich, nie kryjąc nic, nie obwinając nikogo prócz siebie. Doszła aż do ślubu, znalezienia się po ślubie, i poznania ukochanego w tym wodzu, któremu naród powierzył losy swoje. Dowiedziała się także z tego przybyła, iż osobą porwaną była Staroscina, która tak czynną rolę odegrała w jej nieszczęściu.

— Otóż są dzieje moje — zamknęła nareście — co z sobą począć nie wiem! Proś o radę matki, niechaj ona mną rozporządza... ale jeżeli mi jej rozkazu zabraknie... postanowiłam przebrana wstąpić do wojska i zginąć.

Przybyła ostatniego przypuszczenia słuchać nawet nie chciała, widząc w nim razem z Ksawerową chwilowej ekscytacji skutek.

— Wszystko spełnię coście mi polecili — rzekła — ale wiadomości od nas spodziewać się nie możecie. Jesteśmy śledzone, szpiegowane i kto wie czy ja dzisiejszej mojej wycieczki nie przypłacę niewolą lub wygnaniem. Powrócę gdy będę mogła oczów jego uniknąć. Kiedy! Bóg wie — może nigdy. A jeżeli mnie nie będzie, pani nie zwierzy się nikomu — sama zaś teraz na krok się z domu wyrwać nie może.

— Więc powiedz tej... tej, którą kocham tem bardziej że cierpi dla mnie — zawołała Helena — niech się nie troszczy o szczęście moje, o życie moje. Szczęśliwą być nie mogę, żyć nie pragnę, dziecko bez imienia, kobieta bez przyszłości... chcę się poświęcić ojczyźnie.

Znowu obie z Ksawerową nie dozwoliły jej dokończyć.

— Powiedz to jej — powtórzyła Helena — ona jedna wstrzymać mnie ma prawo i rozkazać... inaczej.

— Ale przyszłość! przyszłość się może rozjaśnić... pani jesteś młodą. Bóg dobry — zawołała posłanka.

— O! nie! nie! — przerwała sierota — nie mam nadziei, w przyszłość nie wierzę, czarnym całunem zakryta przedemną...

Gdy po długiej rozmowie zapragnęła nareście odejść nieznałoma, Ksawerowa i Helena obawiały się ją wypuścić samą. Obejrzały wprzód ulicę, przekonały że w niej nie było nikogo na czatach, a wdowa przeprowadziła ją aż do ludniejszego krakowskiego przedmieścia, gdzie w tłum się wieszawszy, niepostrzeżona zniknąć mogła.

LXV.

Odtąd mieszkanie Ksawerowej stało się jakby więzieniem, zamykano drzwi, obawiano się przychodzących, strzeżono ludzi nieznanych, chociaż nic się zagrażać nie zdawało. Podejrzanе owe postacie, które długo snuły się przed domostwem, znikły.

Do pewnego stopnia i to uspokajać mogło, że Staroscina pochwycona omyłką nie powracała do domu. Sługi nawykłe do dłuższych jej, często niespodzianych wycieczek, nie bardzo się o nią troskały... prowadziły życie swobodne i korzystały z wytchnienia.

Do Heleny tylko generał pisywał nieustanne listy, które ona nieraz pieczętowane odsyłała. Postanowienie jej było niezmiennie, ani go widzieć ani z nim żyć nie chciała.

LXVI.

Nigdy może większy ciężar nie spoczywał na barkach człowieka nad ten, który włożono na przyjaciela Washingtona... dając mu spadek występków i omyłek, dziedzictwo niezliczonych błędów do dźwigania, a w pomoc naród pełen zapału ale od czynu odwykły i zwichnięty. Wiły się około niego i najpocziwsze a bezsilne chęci garści ludzi zacnych a słabych, i niecne intrygi ambitnych, i marzenia utopistów, i niecierpliwa niewiara a sceptycyzm tych, co upadek uważali za nieunikniony a woleli co prędzej paść, by... leżeć... Najenergiczniejszy z ludzi osłabłby był w tych objęciach, raczej obręczach przyjaciół natrętnych, nieprzyjaciół zamaskowanych, zazdrośników i intrygantów. Dnia ni nocy nie miał wódz dla siebie, ani dla swobodnej myśli o przyszłości — dzień i noc musiał słuchać programów, nalegań, projektów narzucanych i najsprzecznieszego nacisku zdań tysiąca ludzi.

Znosił to z heroizmem... czuł on, że wszystkie węzły gordyjskie położenia — szablą przeciąć będzie musiał.

W tych dniach zamętu udało mu się przecie jednego wieczora na godzinę zostać sam na sam z tym bohaterskim szewcem, którego zwano Kilińskim.

Był to człek prosty a serce wielkie (czyli jak on sam zwykł był pisać „wielgie“, bo autor pamiętnika, który jest arcydziełem szczeroty i naiwności, nie był w ortografii mocnym).

zowie. Biła się z nami razem, jak lew... Kula moskiewska rozdarła jej ramię. Skromne to dziewczę, sierota.

— To pewnie ona! ale imię!

— Zdaje mi się, że ją nazywano Heleną.

— Tak jest! to ona! — powtórzył wódz — pułkowniku niechże ja ją znajdę, zobaczę i powinszuję bohaterstwa... Nie wiesz gdzie mieszka?

— Jakbym ja niewiedział, gdzie mieszka — odparł Kiliński — u mojego dobrego przyjaciela Paprońskiego przy



Kobięta w czarnej sukni krzyknęła... (str. 269).

— Mój pułkownik — rzekł do niego wódz pod koniec rozmowy — zróbże mi też łaskę... Widziałem w ulicy idąc z wojskiem kobietę z ręką na temblaku, znajomą mi dobrze i dawno. Czyście też w tych wypadkach nie mieli jakiej rannej? Czybyś ty o niej nie wiedział?

— Czekaj ojcie naczelniku — rzekł Kiliński uderzając się w czoło — czekaj! zaraz! Była! była ranna kobięta ślicznej urody... panna... ale kadukże ją spamięta jak się

Bielańskiej ulicy. Paproński mieszczanin... ojciec jego był szklarzem, ale on mając kamienicę nie praktykuje już... mówiłem mu że głupstwo robi... no! ale wola jego...

Czekajże, ojcie naczelniku, aby nie było bałamuctwa, poszlę się dowiedzieć o tę heroinę.

— Każże spytać pułkowniku, czy Siechnowicki widzieć się może?

— Któż Siechnowicki? — spytał Kiliński.

— To ja.  
 — Macie ojcie drugie nazwisko?  
 — Mam, mój pułkownik, choć i jedno poczciwie nosić trudno.  
 — Nie, wam — rzekł Kiliński — stanie laurów i na dwa.  
 — Ale słuchajcie — przerwał wódz — gdyby można zapytać... jabym poszedł zaraz... człek jutra nie pewien... zaczekałbym w bramie.  
 — Kiliński uśmiechnął się z tej niecierpliwości.  
 — Ej! ojcie — rzekł — coś to w tem jest?  
 — To jest — odparł Kościuszko — że ja stary szanuję ją jak siostrę rodzoną.  
 Pułkownik skłonił głowę.  
 — Chodźmy — rzekł — ino wyjdźmy tak, aby nas szpiegi własne nie widziały... i daremnych plotek nie było.  
 — Powiecie, że chodźli widzieć bohaterkę wielko-czwartkową.  
 — Gdyby nie była tak piękna — szepnął Kiliński.  
 Zarzuciwszy płaszcz, czapki nasunawszy dobrze na oczy wyszli tylnymi drzwiami. Szczęściem dla Kilińskiego wieczór był ciemny, bo go tak znano w mieście, że ludby zaraz go otoczył. Przesunawszy się uliczkami bocznymi ku Bielańskiej stanęli w bramie domu Paprońskiego. Kiliński

wąsa pokręciwszy (a był mężczyzna poważny i postawny), poszedł rozpytawszy się na drugie piętro. Nie rychło mu odryglowano, pani Ksawerowa zobaczywszy mężczyznę barczystego, wąsatego, wahała się go puścić.  
 — Moja mościa dobrodziejko — rzekł pułkownik przeze drzwi — przychodzę ja tu ze zleceniem do naszej heroiny, Heleny... od pana... Siechnowickiego.  
 Na to imię Helena wybiegła zapłoniona z drugiego pokoju.  
 — A to pani! — dodał Kiliński... Pan Siechnowicki prosi o audyencyę, nie wstyd mi mu służyć za szambelana...  
 Z radością i niecierpliwością, choć w początku zawahawszy się, proszono; znana twarz poczciwego pułkownika ręczyła, iż w tem przynajmniej podstępny być nie mogło.  
 — Słuchajcież moje dobrodziejki — rzekł Kiliński — przyjmijcie go tu... ja sobie u Paprońskiego poczekam; co wam mam w rozmowie zawadzać, ale mi dajcie znać, gdy będzie odchodzić, bo go samego nie puszcę.  
 Kiliński odszedł, ucałowawszy rękę Ksawerowej i Heleny, szybki chód dał się słyszeć na schodach. Siechnowicki stał w progu. Spojrzał radośnie, wesoło pochwycił rękę Ksawerowej i zbliżył się żywo do Heleny. (Dok. nast.)

## NOTATKI WĘDROWCA Z MUSU.

### IV.

### KRAINA MIĘDZY GARONNĄ A OCEANEM.

Ziemia uprawy nie mająca nie pustoszeje, ale głóg tylko i chwast, jady i straszdyła wydaje.

Albertus z wojny.

Grzechowi ciemnoty potrzeba. Górnicki.

Jest w części południowo-zachodniej Francji, między rzeką Garonną a Oceanem, rozległa kraina, mająca swoją odrębną fizyognomję, swoje obyczaje wyłączne i różne od ogólnego narodowego charakteru. Podróżny, zmierzający z Bordeaux ku Bajonnie, napotyka niebawem, niemal pod bramami stolicy dawniej Gujenny <sup>1)</sup> płaszczynę, której niezmierna przestrzeń, ograniczona wodami Oceanu, jedno-

stajnością swoją oko utrudza. Grunt *landów* <sup>2)</sup> jest czarny; a gdzie się kończą ruchome wydmy piasku, nietknięte ani pługiem ani rydlem, tam zaczynają się cuchnące bagna, pokryte zielonawą i lepłą skorupą, w których noga grzęźnie po kostkę. Nie ujrysz tu ani owych „smaczno brzmiących strumyczków“ (jak powiada Grochowski), skrapiających kwieciste brzegi; ani ocienionych wierzbami zdrojów, których rzeźwiąca woda rozlewa się na łożu, wyścielonem białymi kamykami, i odświeża mchy rosnące dokoła; ale tylko małe jeziora, równe z ziemią, nie znające innych ryb, prócz żaby; nie zwiedzane przez nikogo, prócz spragnionej trzody i kurek wodnych. Tu i ówdzie, i to w wielkich odległościach, ukazują się rzadkie klomby karłowatęj

<sup>1)</sup> Gujenna wraz z Gaskonią stanowiła najobszerniejszą prowincję dawnej Francji. Utworzono z niej ośm całkowitych dzisiejszych departamentów: Gironde, Dordogne, Lot et Garonne, Lot, Aveyron, Landes, Gers i Wyższych Pirenejów; a nadto zaokrąglono z niej pięć innych: Corrèze, Tarn et Garonne, Górnej Garony i Niższych Pirenejów. Właściwa Gujenna to dawna Akwitania. Bordeaux (Burdigala), stolica niegdyś samoistnej prowincji, w połowie dopiero XVIgo wieku wcielonej do Francji, jest dziś miastem stołecznem departamentu de la Gironde.

<sup>2)</sup> Landes, grunt piaszczysty, do uprawy niesposobny; golizna, piaski. Troitz.



sośniny; a posępny i ubogi liść tego drzewa pustyni pomnaża jeszcze żalobny widok owych samotności; tak wszystko, aż do pożółkłych iglastych liści, pokrywających niepłodny grunt moczarów, *piniadami* (*pignadas*) tu zwanych, budzi smutek i tęsknotę. Wszędzie indziej ciągną się rozległe zarosty kolczatych jałowców, kwitnących wrzosów i wachlarzowatej paproci. A po tych pustkowiach włóczą się trzody chudych owiec, których wełna tak jest ubrukana, że podróżny wtedy dopiero spostrzega trzodę, kiedy koło niej przechodzi, albo kiedy jednotonny i głuchy odgłos klekotek zwróci jego uwagę. A stróżem trzody, nadającym jedyny wyraz tej pustyni, jest człowiek wynędzniały, ogorzały, z czarnymi oczyma bez blasku, z licem wytrawionem nieustanną gorączką i z leniwym, ociężałym ruchem. Odzież jego brunatnego koloru—szczerotliwie przezwanego *couleur de bête* — włosy długie, czarne i spłaszczone, pokryte brunatnym beretem. Tak przybrany *pastur* (*pastour*), zasiadłszy nad brzegiem rowu, robi pospolicie pończochę, kaftan albo beret z wełny, za pomocą grubych drewnianych igieł. Kiedy odgłos kroków twoich oderwie go, nie powiem od jego dumania, bo o czemżeby dumał? — ale od jego samotności, *pastur* podnosi zwolna głowę, rzuca na ciebie z podełba wzrok, więcej głupowaty niż nieufny, i nie spuszcza cię z oka, aż cię przed nim jakiś wzgórek lub sosnowy klombik nie zasłoni. On tak sam, tak dalece sam, że upaja się, o ile może najdłużej, szczęściem widzenia człowieka — biedny *pastur*!

Niekiedy, po prawej lub po lewej stronie ścieszki, wydeptanej przygodnie, spostrzegasz samotny krzyż; jest to poprostu młode drzewko, odarte z kory; mchy i licheny nową odziały je szatą; kilka grubych kamieni, skupionych u podnóża uzupełniają pomnik. Krzyż taki pospolicie uświęca miejsce, na którym zbrodnia dokonana była, i często też pod niem ciało zamordowanego spoczywa.

Tu i ówdzie, na tej płaszczyźnie bez granic dla oka, wznosi się uboga chata, bez piętra i o jednej izbie: ściany wylepione są gliną, mieszaną ze słomą; drzwi, przedzielone przez połowę, służą razem za okno; dach składa się z kilku niezgrabnych krokwi, z utwierdzonym w górze podłużnym dylem, o który zaczepione żerdzie opadają po bokach, jak zebra szkieletu. Pod tym pierwocianym dachem, na wspólnem posłaniu z wrzosu, spoczywają pomieszane razem: trzoda, pies i pastuch w czasie słotnych nocy, pogodne nocy spędzają pod gołym niebem *sub dio*.

Trzysta lat temu, rzeka Adur nie miała, podobnie jak dzisiaj, ujścia swego przy Bajonnie; przerznawszy szerokim korytem *landy*, nawiedziwszy w swoim biegu miasta: *Aize*, *Saint-Sever* i *Dax*, zwracała się ku północy, płynęła wzdłuż oceanicznego wybrzeża i rzucała się w morze przy *Cap-Breton*, ubogiej mieścinie dzisiaj, ale podówczas bogatej i pysznej swoim portem, zatłoczonym licznymi okrętami. *Cap-Breton*, niegdyś gród zamożny, kwitnący wywo-

zowym handlem, podupadł skutkiem rewolucji przyrodzonej; a Bajonna, zawistna jego spółzawodniczka, panoszy się jego dziedzictwem aż do czasu, kiedy nowy kaprys Oceanu lub rzeki złupi ją z kolei i stolicę bogactwa przeniesie na inny punkt wybrzeża, dzisiaj nieznany. Ślady tej geologicznej rewolucji dzisiaj są jeszcze widoczne; a ciekawy wędrowiec może zwiedzić dawne łoża Aduru.

Od Bajonny do *Cap-Breton*, w odległości półtory mili od Oceanu, napotkasz łańcuch nieregularny, ale ciągły głębokich jeziorzysk, rozlanych w kierunku równoległym od morskiego wybrzeża. Te jeziorzyska, bardzo rybne, łączą się pomiędzy sobą podziemnymi ściekami, a z Oceanem przyrodzonymi kanałami. Są to szczęty dawnej rzeki; tyle tylko pozostało tamecznym mieszkańcom z rzeki, noszącej im bogactwo i zdrowie; podówczas bowiem te wody, dzisiaj po większej części drzemiące i stęchłe, były przejrzyste, szmerzące i bystre: te jeziorzyska, to Adur!

Z pomiędzy tych jeziorzysk, sześć ma nazwisko i geograficzną wartość: jezioro św. Wincentego, *Soustons*, *Castels*, *Arjuzan*, *Mimizan* i *Bicaros*. Ale najcelniejszy z nich jest tak zwany staw kazowski (*Etang de Cazaux*); zasługuje on na szczególną uwagę z dwóch względów: naprzód, że jest największy, powtóre, że pod jego drzemiacemi i zaledwie czasami pomarszczonemi od wiatru wodami, leżała niegdyś włość dosyć zamożna. Pewnej nocy, nocy straszliwej jak noc potopu, niesłychany wicher zmiotł widmy piaszczyste, zabezpieczające wioskę; a fale Oceanu, cisnąć się otwartą drogą, zatopiły nieszczęsnych wioski *Kazo* mieszkańców, którzy byli pogrążeni we śnie, a którzy się już przebudzić nie mieli! Ilekroć upadają wody, krajowcy ukazują wędrowcowi jakiś piramidalny głaz, sterzący równo z powierzchnią stawu, i powiedzą ci, że to dzwonnica dawnej wioski *Kaza*. W pierwszej połowie bieżącego stulecia żył jeszcze czcigodny starzec, który przypadkiem nie znajdował się tej nocy w domu i sam tylko jeden ocalał. W porze letniej biedny starzec przychodził co wieczór nad brzeg stawu, przesiadywał tu po całych godzinach, nie spuszczać z oka zatopionej dzwonnicy, i gorzkiemi zalewał się łzami; bo tam pod ową wiejską kopułą odbyły się najpiękniejsze obrzędy jego chrześcijańskiego żywota: chrzest, pierwsza komunja i ślub!

Nauczeni tą straszliwą klęską ludzie cichej zasługi zaczęli przemyślać o sposobach zabezpieczenia na przyszłość mieszkańców od podobnej przygody; usiłowali więc ustalić piaski, użyźniając takowe; a jeden z nich, którego pamięć dochowuje się z religijnem poszanowaniem w sercach krajowców, poświęcił cały swój majątek i usilność całego życia użyźnianiu wydmów. Rząd wsparł filantropiczne zamiary zacnego obywatela; a baron *d'Haussez*, którego również Ocean rewolucji politycznych uniósł na swoich falach, przyczynił się w znacznej części do wykonania zba- wionego przedsięwzięcia. Nie szukaj go próżno w biogra-

fach tak zwanych sławnych ludzi; nie ma tam miejsca dla ludzi cichej ofiary, dla skromnych wyrobników Chrystusowej winnicy, tylu się tam natłoczyło łupieżców cudzego dobra, politycznych trefnisiów i skoczków!

Jeziora te dostarczają niesłychanego mnóstwa ryb; a w czasie mrozów są przytułkiem niezliczonej liczby dzikich kaczek, tak dalece, że w owej krainie czas polowania na kaczki tak jest oznaczony, jak czas sianozęcia, żniwa, winobrania. I nie sądzę, że to polowanie odbywa się w sposób zwyczajny, przez jednego lub kilku myśliwych, przy pomocy trzech lub czterech wyźłów; cała gmina zawiesza zwykle swoje zatrudnienia, wybiera naczelników, urządza oddziały i z największą karnością dane wykonywa rozkazy. Jakkolwiek musi być liczne stowarzyszenie, zdobycz przewyższa zawsze powzięte nadzieje. Nierzadko się zdarza, że po dwóch dniach polowania uzbiera się 4.000 sztuk do rozdania. Działy robią się z najściślejszą sprawiedliwością, są one zawsze zastosowane do liczby członków składających każdą rodzinę.

Mieszkańcy oceanicznego wybrzeża, począwszy od Bajonny aż do Finistery, żyją z przewozu, rybołostwa i rozbicia okrętów. Jestto wiara głęboko zakorzeniona w umyśle tego nieokrzesanego ludu, że każdy rozbity okręt jest przeklęty od Boga i że dokonać tego, co burza rozpoczęła, rabując bez litości statek i ocalonych żeglarzy, przychodzi się w pomoc odwiecznej sprawiedliwości; wiara dzika, ostatni ślad krwawej czci Druidów, upowszechnionej i utrwalonej przez ciemnotę i chciwość.

Ludność nadbrzeżna odpychała dotąd wszelkie usiłowania cywilizacji; zna tylko morze, swoje łodzie, haki i sieci. Morze jest dla nich folwarkiem, polem, winnicą; sprawiają je, orzą i gospodarują dowolnie; żniwa ich są wprawdzie nieregularne, ale przychodzą, jak w złotym wieku, bez zasiewu. Okręt jaki kupiecki wpływa z pomyślnym wiatrem do jednej z ich samotnych zatok, ujrzą ich wszystkich, jak podwodne bydło, wyładowujących statek, przenoszących na plecach towary, po większej części przemycane, i udających się z niemi w kryjówki im tylko znane, gdzie czujne oko celnika dosięgać nie zwykło. W porze nieczynności, a ta jest najdłuższa, zamieniają się w rybaków; wypłynąwszy na morze nocą w wątlej swojej łódeczce wracają około południa i w sąsiednim miasteczku zbywają zdobycz swojej awanturycznej wycieczki. Ale zima jest dla nich ulubioną porą, nie dla tego, że podówczas liczne statki przybijają do mniej bezpiecznych brzegów; nie że rybołostwo przynosi więcej, ale że zima, ze swojemi szalonymi zamieciami, swojemi rozhukanemi wiatrami i swoim pochmurnem niebem, jest porą niebezpieczeństw, kłesk i rozbiciów; rozbiciów, które są Opatrznością owych barbarzyńców, bluźniących Opatrzności.

Niech się tylko niebo zachmurzy, ujrzą onych ludzi pleczystych, krępych, zsiadłych, z dzikim spojrzeniem,

czarnym i rozwianym włosem, w posępnej i żałobnej odzieży, uzbrojonych siekierą, albo żerdzią zakończoną hakiem, przemykających się jak grobowe cienie wzdłuż ruchomych wydmów i wartujących po całych dniach w pianie morskiej po kolana. Ukryci za jaką nagą i wilgotną skałą, albo w trzcinie, albo w jałowcowych zaroślach czychają na łup, zapowiadany chciwości ich w gniewach Oceanu! Już ich kocie oko rozogniło się dziką radością; już te karaiby spostrzegły nieszczęsny statek, miotany spienioną falą; dreszcz niecierpliwości przebiega ich żyły, dla nich beczki z arakiem, dla nich szacowne paki, wypchane tłomoki, dla nich szkatuła podróżnych i żywność całoroczna majtków! Im obdzierać trupy i dobijać konających! Dla nich, dla nich tylko rozbicie ze wszystkimi okropnościami swemi! Dla nich krwawe żniwo burzy, dzieje się Oceanu! Okrutni i chciwi!...

Jednej takiej nocy burzliwej, w 1835 roku, stary Piotr rybak zbudził swoją nie mniej letnią Małgorzatę, acz ledwie co zasnęła nieboga, gwarząc o swoim synie, który tam gdzieś po morzach żegluje, a który z Gwadelupy pisał, że wkrótce przybędzie.

— Dalej, Małgorzato, spiesz się! Słyszałem wyraźnie dwa wystrzały w kierunku *Białej Skały* — będziemy mieli gratkę.

Stara tymczasem wstała, zawiesiła dwie latarnie na dwóch końcach kija, przytwierdzonego w krzyż do żerdzi, na ośm lub dziesięć stóp długiej; stary wziął siekierę z krótkim trzonkiem, postronek i żerdź opatrzoną żelaznym hakiem, zwaną pospolicie *gafą* (*gaffe*), i wyszli milczkiem.

— A co? — słyszysz Małgorzato? — wystrzelili na trwogę.

A promień światła latarni padł na twarz starca i ukazał spojrzenie jego, ożywione kanibalską radością, i muszkuły wyprężone dziką nadzieją; a fala ryczała ciągle, a wicher dał z coraz większą wściekłością. W pośród tej wrzawy przyrodzenia przedzierały się pomieszane krzyki rozpacz i żałosne jęki — i znowu dał się słyszeć jakiś łoskot, jak gdyby zwały się drzewo, rażone piorunem. Doświadczone ucho rybaka umiało rozeznawać te odgłosy.

— Nie będziemy czekali długo, podnieś latarnie w górę.

A stara podniosła swój krzyż oświecony, mający służyć za przewodnika biednym rozbitkom i wciągnąć ich w zasadzkę.

Niezmierny bałwan zatoczył się na wybrzeże, woda podeszła starcom po kolana, bałwan cofnął się, porzuciwszy na brzegu ciało majtka. Regularny łoskot wioseł dał się słyszeć blisko wybrzeża.

— Ho! ho! Dajgo katu! Zdaje się, że okręt dał nurka; ale zjedzą djabła, czy się przemkną po za *Białą Skałą*.

Wyrzekłszy te kilka słów sam do siebie, Piotr z wymierzoną siekierą nachylił się do trupa. Przenikliwy krzyk rozpacz dochodził z morza. Piotr obmacał trupa.

— Ten, nie żyje!  
— Ratujcie! Ratujcie!

A po tym krzyku rozpaczy, znowu grobowe milczenie. Szalupa zatonała, morze pochłonęło swoją zdobycz, a paki, skrzynie, beczki, deski i drzażgi masztów zarzuciły wybrzeże.

Stara spuściła ku ziemi swój morderczy fanał i co ma siły pomaga mężowi zabezpieczyć od nowej fali szczątki rozbicia. Ale jakieżto znowu krzyk, pomieszany z groźbą i kłatwą? — Krzyk stłumiony, ostatnie wysilenie piersi, zalanej falą.

— Ratujcie! — Ratujcie! — Tonę!

I może o cztery sążni od brzegu ukazały się głowa i dwie ręce nad wodą.

Piotr słyszy tonącego krzyki, nadbiega uzbrojony *gafą*. Zapewne poda nieszczęsnemu tę żerdź ocalenia... ale nie,

podniósł całą siłą żerdź okutą żelazem i z taką gwałtownością zwałił ją na topielca, że hak uwiązał między łopatkami... Ostatni krzyk skonania zmieszał się z rykiem burzy... Zbrodnia dokonana! Morderca przyciąga do siebie trupa; a Małgorzata — rzecz okropna i hydna! — dobija go siekierą. Jeszcze ciało nie skrzepło, oni przewracają je na wszystkie strony. Małgorzata bierze latarnię, nachyla się nad trupem... ale zaledwie światło padło na lice ofiary, przeraźliwy krzyk rozległ się w powietrzu, latarnia wypadła z ręki Małgorzaty... Nieszczęśliwa pada bez życia, przy trupie syna.

Pogrzebano ich nazajutrz, jedno obok drugiego; Piotr przejechał jeszcze dwa lata zatrute zgryzotą. Nakoniec Bóg zlitował się nad synobójcą! Pewnego wieczora, znaleziono starego rybaka bez życia, na wybrzeżu morskiem, naprzeciw *Białej Skaly*.  
KSAWERY GODEBSKI.

## R Ó Ż N O Ś C I

OFIAROWANE DOŚWIADCZONEMU PRZYJACIELOWI

J Ó Z E F O W I J G N A C E M U K . . . . .

PRZYZ

TEOFILA LENARTOWICZA.

C Z C I G O D N Y P R Z Y J A C I E L U .

Owo Ci przynoszę nowy upominek od serca, wiązkę rymów składanych, jakby to jakiś łacinnik powiedział: w przypomieniu szczęśliwego Argos. — Pieśni te, niby echa nadbużańskich lasów, nie dziw się, że mają charakter żeński, taki bowiem jest ogólny charakter pieśni tych okolic, mąż mało tam zdaje się przywiązywać wagi do piosenki i zostawia ją niewieście; to też ile razy chcesz opiewać przedmiot bojowy, do rytmu Krakowiaka musisz się uciekać, Mazur bowiem nie ma na nią formy odpowiedniej; na krótki ucinek się zdobędzie, ale nie na więcej — Krakowiak to i Rusin dostarczą ci wojennego rytmu. Pokutuje u nas w Polsce do dziś dnia błędne wyobrażenie o szkołach poetycznych, o prowincjonalizmie pieśni; kto z Krakowa, temu już nie godzi się liry mazowieckiej potrącać; a kto Mazur, temu chroń Boże Krakowiaka roznosić, jakbyśmy pomimo odcieni językowych nie byli jednym narodem. Kiedys wielki poeta władający genialnie wszystkimi narzeczami, kłamstwo zada tym dzisiejszym sądom, na co niewątpliwie zgodzisz się ze mną mój czcigodny przyjacielu, a nawet pozwolisz, że nieśmiało i niepewno, jak to przy każdym początkach bywa, a mianowicie jak się to działo w starem malarstwie, po tej

się drodze w robotach moich obracać będę, i nie zamkniesz mnie w błogosławionem kółku, ale i w świat bojów i w świat, na który ciężko patrzeć, ale który przejrzeć jest zasługą, wolność wędrowni mi zostawisz.

Naród nasz to jedna lira, a jego narzeczka i pieśni w tych narzeczach, to rozmaite jej struny; ta ponura stepowa, ta wesola krakowska, ta wysoka mazowiecka, ta litewska, co się do rusińskiej przybliżyła, a ktoby chciał grać na jednej tylko, temu dusza całego kraju nie odpowie.

Dotychczasowe pieśni moje gminne zyskały tu i ówdzie życzliwe przyjęcie, odbierałem listy od kmieci z Polski nadwiślańskiej, a jeden z dowódców ostatniego powstania, także chłopiec, do lez poruszającą kartę o losie mych piosenek na Mazowszu pomiędzy siermiężną bracią mi napisał. Powinienbym więc być zadowolony, a przecież tak nie jest; są sfery ducha ludowego, do których rzadko kiedy myślą udaje mi się przybliżyć, a które nigdy jeszcze nie wyszły na papier, wyjawiać je zaś nie w pieśni, jest to to samo, co własną swoją ukochaną rozbijać lirę.

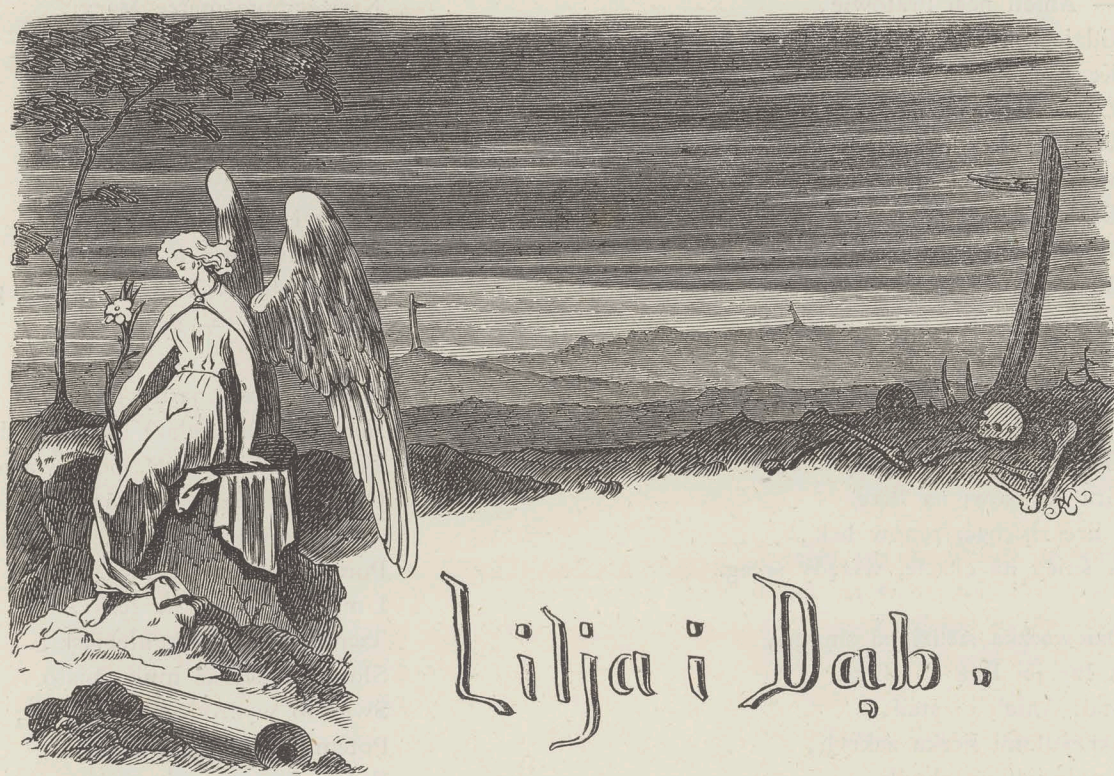
Na wszystkich strunach biorę głosy jak widzisz, chociaż odnośnie do pojęcia, jakie mam o pieśni gminnej, jest to dopiero strojeniem struny, a nie muzyką jeszcze.

na wydmach przydrożnych rośnie, biała lilijka nadbużańska, mak na sen dla dzieci, wreszcie rozchodniki mogilne, pomiędzy które dla różnaitości gałązkę chmielu weselnego zaplotłem.

Ale ja rozgadałem się o rzeczach poważnych, jakbym Ci co poważnego przynosił, nie myślże o niczem podobnem, przegładając tę rymów wiązanekę — owo niezapominka, dziewanna co

W kalecie mojej wiele jeszcze pieśni odpoczywa, wysypię je kiedyś przed Tobą, a Ty je przyjmiesz bez uwagi na wartość z zawsze równą dobrocią.

Florenca 20. Maja 1868.



# Lilja i Dąb.

Albo graj,  
Albo skrzypkę zdaj,  
Albo za taniec zapłać...

## I.

Szczęсна Marysia u boga!  
Stały anioły u proga,  
I prosiły panien prosiły,  
Żeby im wianek uwiły.  
Jeden się skłonił do nówek,  
I prosi kwiatów dla družek.  
Schylił się drugi z skrzydłami,  
Dla Marysieńki dla samej.  
Stoi Marysia na smugu,  
Panny ją wiodą do ślubu;  
Nasza Marysia od Bugu,  
Nosi trzewiczki od łubu.  
— Panienci jasne stokrocie,  
Zróbcież wianeczek sierocie.

— Anieli nasi bratowie,  
Jedna panienska odpowie,  
A z czegóż będziem wianek wić?  
— Złote listeczki, srebrna nić.  
Druga panienska odpowie:  
— Anieli nasi bratowie,  
Na cóż się przyda złoty liść,  
Kiedy do ślubu nie ma iść.  
Inna rzecz dla niej sądzona,  
Inna sierocie korona...  
I wzięły smucić się wzięły,  
Aż im łzy święte płynęły,  
Oj popłynęły od smutku,  
Jak po rozsadach w ogródku.

Stali anieli zdziwieni,  
 Jako jabłuszka czerwieni.  
 Skrzydełka u nich z pawich piór,  
 A włosy długie — złoty sznur.  
 Wesele idzie od liczek,  
 Od srebra, złota trzewiczek.  
 — Panienki święte stokrocie,  
 Cóż zaniemiemy sierocie?...  
 A jedna panna odpowie:  
 — Anieli nasi bratowie,  
 Gdzie był kościółek z modrzewi,  
 Kędy chateńka nikt nie wie.  
 Został się tylko czysty smug,  
 Wielka niedola żywy Bóg!  
 Młody w moskiewskim Sybirze  
 Gra Jezusowi na lirze.  
 Wielki tam smutek, wielki ból,  
 Bo tam na polu jeno sól\*)  
 I trupich kości straszna moc,  
 Słoneczka niema — zawdy noc.  
 Czasami jeno przed chatę,  
 Przychodzą reny rogate,  
 Gdzie młody w głuchym Sybirze,  
 Gra Jezusowi na lirze.  
 I lirę słycać, renów bek,  
 A śnieg na chacie, wszędy śnieg.

Dzieweczka siedzi na smugu,  
 A łzy jej lecą do Bugu.  
 Stali Anieli oj stali,  
 Skrzydłami liczka zakryli,  
 I polecili po chwili,  
 Lecieli bliżej i dalej.

I znalazł jeden panny ślad,  
 Tam na popiołach naszych chat;  
 Poznał po stopie po małej,  
 Że je sieroty deptały.  
 I szedł po śladach długo szedł,  
 Jak długa Polska het tam het.  
 A co krok uszedł po polu,  
 Zapłakał sobie od bolu;  
 I mierzył drogę na łezki,  
 Ten złoty ptaszek niebieski.

I szedł od nocy do ranku,  
 Od gruzów sioła do sioła,  
 Aż ci na jednym polanku  
 Widzi zmarłego anioła.  
 Prędko pochylił się złoty,  
 Co stał na polu jak słupek:  
 Nie był to anielski trupek,

Jeno Marysi sieroty;  
 Chociaż się świecił jak słonko,  
 Pod świętych panien koronką.

Położył trupka na dłoni,  
 I począł patrzeć się po niej.  
 A gdy się patrzy litośnie,  
 Lilijka w dłoni mu rośnie.  
 I głos wychodzi z lilii:  
 Nieśże mnie matce Maryi,  
 Połóż u złotych trzewiczek,  
 Niech się napatrzę jej liczek.

Na chmurki białej na rąbek  
 Leci bieluchny gołąbek,  
 Nie był to gołąb srebrzysty,  
 Jeno sam anioł przeczysty;  
 Nie był to kwiatek z naszych pól,  
 Jeno sierota — żywy ból.

A drugi anioł jasny brat,  
 Na śniegach znalazł ludzki ślad.  
 Po strasznej drodze, po krwawej,  
 Odgarniał ślady rączkami,  
 Aż tu krwią polską i łzami  
 Pomaczał złote rękawy.  
 I mierzył drogę na łezki,  
 Ten złoty ptaszek niebieski.  
 Słoneczko coraz mniej biało  
 Świeciło w drodze tej ptaszęj,  
 Potem bledniało, konało,  
 Potem i słonka nie stało,  
 A wciąż szły ślady krwi naszej.

I stanął w głuchym Sybirze,  
 Spojrzał po świecie nikczemnym,  
 Aż ktoś pod niebem pod ciemnym,  
 Gra Jezusowi na lirze.  
 A przed nim renów dwa rzędy,  
 Słucha niebieskiej kolędy.  
 Lirenka grała a grała,  
 Jak gdyby dusza spiewała.  
 I anioł począł tak szlochać,  
 Począł się w płaczu zanosić,  
 Że można w nędzy tak kochać,  
 Że można w nędzy tak prosić.  
 I przed Polakiem cierpiącym,  
 Upadł bieluchnym miesiącem.

Potem go w skrzydła obwinął,  
 Jako dzieciątko pieluchą,  
 I ni to szedł z nim ni płynął,

Przez całą Syberję głuchą.  
Potem dwa skrzydła otworzył,  
Rączką go potarł po skroniach,  
I w wolnej Polsce na błoniach,  
Jednego ranka położył.

I rzekł mu taki łaskawy  
Nad rolę wybiegłszy kmięcą;  
Strumień przetoczył się łzawy,  
I dymem chmury nie lecą.  
Lecz jednej wieści nie schował,  
I rzekł z oczami cudnemi:  
— Będieszże Bogu żałował  
Jednego kwiatka na ziemi?  
— Zaś bym żałował, niech bierze,  
Jeno mi serca niech strzeże.  
— Nie bój się, smutki gdy wioną,  
Ja twoim oczom odsłonię  
Szumiące lasy tą stroną,  
Tą stroną wioskę i błonie.  
I na podwórku twem stanę  
W najcichsze świty rumiane. —  
A kiedy serce ukoił  
Jakoby ciszą kołyski,  
Cały świat cudnie przystroił,  
Wioskę i kościół poblizki.  
I wziął człowieka za rękę,  
I w ciemne powiódł go drzewa,  
Patrzy — aż matka tam spiewa  
Najświętszej Pannie podziękę.  
A nad nią jego sierota  
W sukience stoi od złota,  
A tak się bogu weselą,  
Jak dziatki świętą niedzielą.

I człowiek zgjąwszy kolana,  
Żałości pozbył ostatka,  
Chociaż nie była to matka,  
Lecz była Polska kochana.

.....

Spojrzy aż dąb się zieleni,  
A pod nim dziątek tak wiele,  
A wszystkie cieszą się w cieni,  
Którą do koła dąb ścięte.  
I zdziwion człowiek ubogi  
Na dziatki wejrzy się owe,  
Na swoje spojrzy się nogi,

A to korzenie dębowe.  
Na swoje spojrzy się bary,  
A to dębowe konary.  
Więc się aniołu poleca;  
A tu świat cudny, wesoły,  
Świeżo zorana ról kmięca,  
I przed nim jego dwa woły.  
A za nim bracia od orki,  
A za nim bracia od radła;  
Nędza zginęła, przepadła,  
Znowu weselą się dworki —  
I kował kosę mu stali,  
O kilka kroków nie dalej.  
Słucha — aż głosik daleki  
Spiewa z za łąki, z za rzeki,  
Co mu tak serce spokoju  
Że aż zawołał: Hej moi!  
I począł płakać jak dziecię;  
Bo biedny człeku łzami znaczą  
I twoje nędze na świecie,  
I twoje szczęście — wszystko płacz.  
Aż tu od polskich słyszy strzech  
Wrogi przeklęte — Polsce śmiech.

I człek się zaciął sam w sobie,  
I tak się wzmocnił w tę porę,  
Jakby stał dębem w tej dobie,  
Jakby na sobie miał korę;  
A dębu wicher nie zmoże,  
A szczęścia Polsce daj Boże!

Rosła lilja na glebie,  
Zielony dąbek w gaju;  
Wziął lilję Bóg dla siebie,  
Zostawił dąb dla kraju.  
Święć się lilijko biała,  
Dębie rozrzucaj cienie;  
Tobie będzie przejrzenie,  
Za wszystko Jemu chwała!

\*) Kiedy u nas mówią o zniszczeniu zupełnem, wyrażają się: spalić, zaorać i solą posiać, żeby się nic nie obrodziło; spalić i zaorać należy do czasów zajazdów szlacheckich, ale solą posiać, żeby się nic nie obrodziło, to już przypomnienie owych nieurodzajnych stepów sybirskich, przez jeografów opisywanych, na których znajdują wielką ilość soli jak śnieg się polyskującej; do tych strasznych moskiewskich pustkowi należy także step zwany Barabasza.



## KOŚCIÓŁ ŚW. JANA CHRZCIGIELA WE LWOWIE.

Stare gmachy, pomniki, bywają często, jak starzy ludzie, w poszanowaniu i czci wprawdzie przy zdarzonej sposobności; gdy się obchodzi rocznica jakiejś ważnej chwili, w której oni właśnie udział brali — w dniu świąteczne, niedzielne; ale zresztą idą w zapomnienie i w codziennem życiu zwraca się uwaga i pamięć ludzka bar-

jego oknom i dodają szarzyzny jego ścianom szarym od wieku. Położony w dzielnicy najplugawszej, najkrzykliwszej i — od czasu jak Lwów stoi — zawsze najmniej chrześcijańskiej, zapomniany, patrzył on na narodziny Lwowa, a wszystkie kościoły lwowskie, metropolie, archikatedry i wspaniałe fary są to jakoby wnuki i prawnuki



FOTOGRAFOWAŁ JÓZEF EDER WE LWOWIE.

dziej ku tym, co się nasuwają okazała a często natrętną powierzchownością.

Uwaga ta przyszła mi na myśl gdy oglądałem kościół św. Jana Chrzciciela na krakowskim. Skromny to i niepokąźny staruszek, stoi przy najbardziej uczęszczanym gościńcu, z którego kurzawy tumany lecą ku małym

jego, które przyćmiły okazałością swego dziadka i pradziadka, cóż dopiero powiedzieć o tej sąsiadce jego najmłodszej wiekiem a przeznaczonej na świątynię dla najstarszej dziś na świecie religii — o synagodze, (czyli mówiąc językiem ludu) bożnicy żydowskiej.

W takim towarzystwie nie spodziewali się zapewne widzieć po wiekach założyciele tego kościołka.

A któżto byli ci założyciele?

Jeżeli zapytasz dziada kościelnego o to, odpowie ci po niejakiemu namyśle, pokrywając niewiadomość powagą swego urzędu, jak ów dziad, którego w Dziadach przytacza Mickiewicz:

— Na co ta ciekawość?

Jednakże podanie krążące między ludem jest bardziej uprzejme i zaspokaja tę ciekawość, aczkolwiek bardzo niedokładnie. Twierdzi podanie, że kościół ten został założony na kilkadziesiąt lat przed założeniem Lwowa, a zatem w pierwszej połowie XIII. wieku.

Trudno wszelako wymagać dokładności po ludowym podaniu, skoro źródła wiadomości historycznej, jako to akta archiwalne, kroniki albo napisy w samymże kościele, także są niedokładne i sprzeczne między sobą.

Zacniemy od najmniej pewnego, a tym jest napis w kościele samym, który opiewa: „*Dominus visitavit et erexit anno 1270.*“ (Pan zwiedzał i wzniósł r. 1270). Erekcya a założenie i wybudowanie to są różne rzeczy. Nie możemy tego uważać jako świadectwo założenia kościoła.

O samem założeniu nadmienią akta kapituły rzymsko-katolickiej lwowskiej, jakoby kościół ten miał być założony w r. 1250 przez pustelników św. Bazylego. Nazwany on jest w tym akcie „*templum vetustissimum.*“

Byłoby to założenie równoczesne z założeniem samego Lwowa, którego pierwotnym założycielem był według *Ipatiewskiej kroniki* Daniel Romanowicz około r. 1250—1252. Ponieważ gród, czyli zamek właściwie, był założony na tak zwanej Lwiej górze, kościół zaś położony pod tą górą, więc podanie, jakoby on był kościołem zamkowym, zyskuje wiele na prawdopodobieństwie. Tę okoliczność popiera także podanie, jakoby kościół ten był założony około roku 1250, t. j. w tym samym czasie, kiedy gród założony. Aliści nie jest to niczem więcej jak tylko podaniem, i chociaż ono jest zapisane w aktach kapitulnych, niestaje się przeto wiarogodniejszemu od wszelkich innych podań.

Nie udało się dotychczas odszukać dokumentu fundacyjnego albo erekcyjnego, któryby się odnosił do tego kościoła. Rzecz ta jednak o założeniu kościoła około r. 1250 z powodu utworzenia na lwiej górze osady traci na wiarogodności, gdyż o Lwowie pewne wiadomości zaczynają się dopiero z r. 1259. *Ipatjewska kronika* pisze pod tym rokiem (1259) o pożarze Chełma: „*jakoże i so Lwowa zriaszczę widiti po polem bielskim od gorienija silnego płameni.*“ Słuszny był wniosek uczonego Wagilewicza, że nie mógł Lwów leżeć w innem miejscu w owych czasach, jak tylko tam, gdzie dzisiaj leży wieś Zniesienie. Wniosek ten zgadza się oraz z podaniem, że skazówkami kronikarskimi i z całym rozkładem ówczesnym miejscowości. Położenie bowiem zamku na lwiej górze, a kościoła

Zesz. IX.

zaraz pod nią od strony północnej wskazuje najoczywiściej, że po tej stronie północnej musiały się mieścić najpierwsze osady, z których powstało miasto Lwów. Wagilewicz twierdzi, że nazwa Zniesienia pochodzi od cerkwi pod wezwaniem Wniebowstąpienia pańskiego (w cerkiewnym języku *Woznesenie*), i wywodzi dalej, że dzisiejsza wieś Zniesienie była kiedyś jedną z parochij lwowskich. Namby się zdawał najtrafniejszym wniosek, że nazwa Lwowa przysługiwała pierwotnie zamkowi położonemu na lwiej górze. Z czasem może nawet sama osada Zniesienia rozszerzyła się ku zamkowi, szukając ochrony pod jego twierdzami, i to dało początek miastu Lwowu. Naprowadza nas na ten wniosek głównie kościół św. Jana. Jest on na wszelki wypadek dawniejszym niż samo miasto Lwów; był więc oczywiście postawiony jako jedna z tych strażnic kościelnych, z których się rozchodziły promienie światła religijnego na coraz dalsze obszary.

Chrześcijaństwo było wprawdzie w tych okolicach już zaszczerpione od X. wieku przez Włodzimierza Wielkiego, i Ruś należała nawet w XIII. wieku do krajów kwitnących pod względem religijnym; ale toczyła się tutaj walka między kościołem rzymskim a wschodnim, obydwaj kościoły stawały na kresach swojej dziedziny strażnice i obsadzały je duchownymi obrońcami swojej wiary.

Dwa zakony dostarczały tym kościołom obrońców duchownych; rzymski kościół znajdował ich w zakonie św. Dominika, wschodni zaś w jedynym zakonie jaki posiada, t. j. św. Bazylego. Tak jeden zakon jak drugi miał swoich orędowników między najzamożniejszymi rodzinami kraju. W naszej krainie łączy się pierwsze zaprowadzenie zakonu św. Dominika z imieniem rodziny Odrowążów. Zakon św. Bazylego znajdował między rodzinami panujących na Rusi kniazów założycieli swoich monasterów. Tak kościół św. Jurski we Lwowie, monaster w Ławrowie, zawdzięczają pierwszy swój początek kniazom ruskim, którzy sami jako mnichy albo odpokutowywali grzechy burzliwego żywota swego, jak Lew Daniłowicz (którego mylnie mają za założyciela Lwowa), i Wojsielk (którego Lew haniebnie i zdradliwie zabił), albo też poświęcili cały swój żywot bogobojnej pracy zakonnej, jak Ławr Trojdynowicz (pierwotnie Rymond) założyciel Ławrowa.

Co do kościoła św. Jana chwije się tradycya między obydwoma temi zakonami, które szerząc chrześcijaństwo w tych ziemiach jeszcze zawsze na pół pogańskich, były oraz przednią strażą w walce kościoła wschodniego z rzymskim.

Jedni twierdzą, jakżeśmy to już wspomnieli, jakoby kościół ten był założony przez pustelników św. Bazylego, jakoby im został odebrany przez zakonników św. Dominika, później napowrót oddany, a nareszcie ostatecznie odebrany i przyłączony do dziekani kapituły lwowskiej.

Bądź co bądź, tyle pewnego można z tych sprzecznych wieści wynioskować, że kościół ten był w odległej



starożytności na przemian to w posiadaniu Dominikanów to Bazyljanów.

Zdawało nam się zawsze niepodobną rzeczą, ażeby przy dokładnych i mozolnych poszukiwaniach nie miało się udać wyszukanie początków takiego cennego zabytku dziejowego. Jednak źródła, gdzieby tych początków szukać, są albo nieprzystępne zupełnie, albo jest przystęp do nich wielce utrudniony. Zapewniano nas, że w archiwum kapituły tutejszej niemasz wiadomości o tym kościele prócz powtórzenia tradycyi, o którejśmy wspomnieli. Ale w archiwach zakonu dominikańskiego, zarówno jak bazyljańskiego, powinnyby się znaleźć ślady. W najlepszym razie wszakże jest poszukiwanie takie, nawet dla tego, który ma zupełnie swobodny przystęp, połączone z tak wielką utratą czasu, że przy naszych dzisiejszych stosunkach, które oddającemu się specjalnej pracy uczonej nie nastęrczają sposobów do życia, musi wszelkie badanie szczegółowe chromać.

Otóż obok wyżej przytoczonych wskazówek i podań mamy jedną wielce ważną, odszukaną przez Maciejowskiego w aktach kapituły lwowskiej, z których wypisał wiadomość zapisaną pod r. 1234 (a zatem na 20 lat przed założeniem Lwowa), że kościół ten w onym roku już istniał i że nim zarządzali pierwotnie (*primitus*) OO. Dominikanie Missjonarze.

Podanie to zgadza się zupełnie z innymi szczegółami dziejowymi, według których św. Jacek Odrowąż przyniósł rzeźbiony obraz Bogarodzicy z Jasnejgóry do Lwowa i założył tu misję Dominikanów. Wiadomość podana przez Maciejowskiego twierdzi, jakoby z „archiwum dominikańskiego się okazywało“ (*patet ex archivo illorum*), że oni posiadali pierwotnie kościół pod wezwaniem św. Jana.

Ruscy pisarze radzi wystawiają tę rzecz tak, jakoby Dominikanie posiadali osobną tutaj kaplicę, a kościół wspomniany należał do Bazyljanów. Z wszelkiego badania okazuje się jednak, że kościółek św. Jana, kaplica zamkowa i missjonarska osada Dominikanów jest jedno i to samo.

Jak to się tłumaczy w szymatyckiej podówczas Rusi?

Oto tym bardzo prostym sposobem, że, jak wiadomo cokolwiek obeznanemu z dziejami Rusi, panował wówczas na Haliczu Daniel Romanowicz, który wielce się zalecał do Rzymu chcąc pozyskać poparcie u Papieża, aby nakazał wyprawę krzyżacką przeciwko Tatarom, a oraz aby go koronował na króla Rusi. Papież uczynił i jedno i drugie. Daniel tedy dał zapewne opiekę Dominikanom, wygnanym w r. 1233 z Kijowa, i pozwolił im osiedlić się jako missjonarzom w tej okolicy, gdzie oprócz zamku książęcego warownego (drewnianego jak niesie podanie) i szczyplej pod górą zamkową, a właściwie lwią zwaną, osady nazwanej od cerkwi woznesieńskiej *Woznesenjem* (Zniesieniem), nareszcie pustelników św. Bazylego z kapelanją św. Jura na drugiej górze, nie było jeszcze żadnej osady.

Z tego wszakże słusznie wnioskować należy, że trzy te czynniki: zamek książęcy na lwiej górze, kościół św. Jana założony przez albo dla Dominikanów, i cerkiew św. Jura były owemi pierwiastkami, z których powstał Lwów. Ale nie był to Lwów dzisiejszy. Leżał on tam, gdzie dzisiaj leży wieś Zniesienie, która, pomimo że Szajnocha bardzo pięknie wykazał, jakoby nazwa jej pochodziła od „zniesienia“ Tatarów za króla Jana, była Zniesieniem jeszcze nim Lwów powstał, jak dowodzi trafnie Wagilewicz.

Później pokłócił się Daniel z Rzymem, a nawet słusznie, albowiem krucjata zapowiedziana nie przysłała do skutku, a koronacja na króla ruskiego była połączona z różnemi uroszczeniami do zwierzchnictwa Rzymu nad Rusią, podczas gdy bojarowie byli temu przeciwni; przez co też Daniel znajdował się w trudnym wielce położeniu, z którego nie mógł inaczej wybrnąć, jak tylko zrywając albo z otaczającymi go ciągle bojarami i innymi kniaziami, a narażając przez to swój tron na szwank, albo zrywając z dalekim Rzymem i papieżem, od którego zemsty był dosyć bezpiecznym. Skutkiem tego było tedy przedewszystkiem niezbyt uprzejme przyjęcie nuncjusza papieskiego, którego Ojciec św. przeznaczył na arcybiskupa halickiego, a który musiał wracać do swojego stolca biskupiego *in partibus*. Było to w roku 1279.

Wtedy to albo w parę lat później, właśnie w porze pierwszego założenia Lwowa, zostali prawdopodobnie Dominikanie ztąd wygnani, jak ich o lat blisko 20 przedtem wypędzono z Kijowa. W tymże samym czasie w r. 1250 przeszedł kościół św. Jana w posiadanie Bazyljanów. Ponieważ tedy Bazyljanie byli w posiadaniu kościoła tego właśnie w czasie założenia Lwowa, więc opisujący dzieje Lwowa kronikarze podali, jakoby Bazyljanie byli pierwotnymi założycielami i właścicielami kościoła. O tém świadczy notata w aktach kapitulnych, która podaje, jakoby kościół ten w r. 1250 przez Bazyljanów założonym został.

Ks. Piraski w opisanu dyecezyi lwowskiej, znajdującem się w rękopisie w archiwum kapituły lwowskiej (któreśmy przez grzeczność ks. kanonika Morawskiego oglądali), powtarza tylko za innymi: że Dominikanie odebrali kościół ten Bazyljanom (pierwotnym jego posiadaczom). Śnać nie wiedział on sam, że w archiwum kapituły znajdował się ślad, jako Dominikanie byli pierwszymi tego kościoła posiadaczami.

Byli więc Bazyljanie w posiadaniu tego kościoła, kiedy Lwów został założony po pierwszy raz przez Daniela. Ten Lwów został wszelako w kilka lat po założeniu swoim, w r. 1261 zburzony. Przyłożył ręki do tego dzieła zniszczenia Lew Daniłowicz, właśnie ten, któremu zwykle przypisują mylnie założenie Lwowa. Stało się to na rozkaz Batuchana, w obecności lennika tatarskiego Burondaja, i było warunkiem zawartego między księciem halickim a

hanem tatarskim przymierza. Zburzenie Lwowa nie musiało być wszakże bardzo gruntowne, skoro ocalał wśród gruzów kościół św. Jana.

Dzisiejszy Lwów został założony, jak to Wagilewicz wyjaśnił według kroniki W. księstwa litewskiego, znajdującą się w rękopisie w bibliotece Raczyńskich, na początku wieku XIV., a zatem blisko w pół wieku po pierwszym zburzeniu tego miasta. Założycielem dzisiejszego Lwowa był Lew Mścisławicz, wnuk Daniela Romanowicza a synowiec Lwa Daniłowicza.

Wszystkie te przemiany losu miasta przetrwał kościół św. Jana. Jak przeszedł z rąk Bazylianów znowu do Dominikanów, nie jest wiadomem. To wszakże jest rzeczą pewną, że kościół ten przetrwał nowe zniszczenie Lwowa w r. 1339 przy zajęciu go przez Kazimierza Wielkiego, i że pozostali przy nim Dominikanie aż do r. 1372. W tym roku odebrał kościół ten Władysław Opolczyk Dominikanom, a oddał go Bazylianom. Wiadomo jak król Ludwik usiłował zjednać sobie Rusinów, a Władysław Opolczyk jako jego namiestnik popierał tę politykę. Tem się tłómaczy odebranie Dominikanom kościoła, a oddanie go ruskim mnichom właśnie przez panującego nie Rusina. W owym czasie (r. 1371) zapisał kościołowi temu Jan, starosta ruski, wieś Hodowicę.

Gdy zaś w skutek bulli Grzegorza IX. z r. 1373 odbierano kościoły, będące niegdyś w posiadaniu kleru rzymsko-katolickiego z pod władzy greckich duchownych, przeszedł snąc i ten kościół napowrót w posiadanie kleru rzymsko-katolickiego.

Odtąd zaczynają się, powiedzielibyśmy, pewne dzieje kościoła tego, bo cośmy dotychczas opisali, w tem tylko te okoliczności są pewne: że kościół św. Jana założony został pierwój jeszcze, niż samo miasto Lwów, i że był na przemian w posiadaniu to Dominikanów to Bazylianów, nim został ostatecznie przyłączony do katedry lwowskiej jako dziekanja.

Nie wiemy z kąd Łobeski (w „Opisach obrazów znajdujących się w kościołach lwowskich“) powziął wiadomość, że w tym kościele przechowywał się przez niejaki czas obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Jest jednak ta wiadomość wielce do prawdy podobną. Zimorowicz bowiem podaje wiadomość o tym obrazie podług rękopisu skoropisem słowiańskim pisanego, według którego obraz ten wprost od św. Łukasza Ewang. pochodzić ma, i po zburzeniu Jerozolimy dostał się do rąk wschodnio-rzymskich czyli greckich cesarzów, a od tych do książąt ruskich. Książęta ruscy przechowywali go przez trzysta lat w swoim skarbcu, aż dopóki go Lew Daniłowicz książę halicki niepozwoił wystawić na widok publiczny na usilne naleganie Bazylianów, później zaś powierzył go tymże Bazylianom do przechowania. Ponieważ tedy Bazylianowie byli w posiadaniu kościoła św. Jana w owym czasie,

więc zapewne obraz Bogarodzicy w tymże kościele umieścili. Dopiero w r. 1382 miał obraz ten Władysław Opolczyk Bazylianom odebrać i przenieść do Częstochowy. Rękopis, na który się Zimorowicz powołuje, nie bardzo jest wiarygodzien, zwłaszcza że nie wyjaśnia on dokładnie, jakim sposobem przyszedł Lew książę halicki do posiadania obrazu, który znajdować się miał pierwotnie w skarbcu kijowskim. Rękopis znajdujący się w ręku Bazylianów był znać tendencyjnie napisany, aby wykazać, jakoby Władysław Opolczyk nieprawnie przeniósł obraz Bogarodzicy do Częstochowy, gdy tymczasem jest rzeczą więcej niż wątpliwą, żeby uczynił coś podobnego ten książę, który protegował Rusinów tak dalece, że właśnie kościół, o którym piszemy, odebrał zakonowi rzymsko-katolickiemu a oddał Bazylianom.

Odkąd kościół przeszedł w posiadanie dziekanii przy kapitule lwowskiej, są jego dzieje bardzo jednostajne. Był on snąc obficie uposażony, bo oprócz wsi Hodowicy należały do niego znaczne grunta, o które wszelako ważne toczyły się spory. Mianowicie znajdujemy w aktach miejskich z pierwszej połowy XVII. wieku (1624 i 1630) ślady sporów to między kapitułą a miastem, to znowu o jurysdykcję nad dziekanją.

W r. 1624 zanieśli skargę do króla burmistrz, rajcy, wójt i ławnicy imieniem całej gminy miejskiej lwowskiej przeciwko lwowskiej kapitule, jakoby ta nieprawnie zajęła grunta przy kościele św. Jana położone.

W r. 1630 wniosła kapituła lwowska znowu zażalenie przed tron Zygmunta III. przeciw komisarzom królewskim, ks. Mikołajowi Krosnowskiemu, proboszczowi bielskiemu, Marcinowi Laskowskiemu, instygatorowi królewskiemu, i Jakubowi Maksymiljanowi Fredrze, o to że ci komisarze będąc zesłanymi w celu rozpatrzenia sporów między miastem a starostą lwowskim Stanisławem Bonifacem Mniszchem, poddali dziekanję św.-jańską pod jurysdykcję miasta. Nie można dojść końca tych sporów, gdyż zapewne główne akta ich dotyczące musiały się znajdować w aktach koronnych.

Oprócz wielkiej starożytności swojej nie jest kościół ten w dziejach miasta Lwowa niczem odznaczony.

Budowa jego, jakkolwiek niepochodzi z wieku, kiedy był założony, jest wszelako bardzo dawna i przypomina tak pod względem szczupłości swojej jak prostoty stylu owe modrzewiowe stare kościoły, które jeszcze przed tem powstawały, nim gotycka architektura u nas zagościła.

Obrazy świętych, znajdujące się w kościele, są niektóre, szczególnie zaś św. Jana Chrzciciela w głównym ołtarzu, bardzo dawne.

Portrety nagrobne są mocno poniszczone i pochodzą wszystkie (jest ich trzy) z XVII. wieku. Dwa z tych portretów przedstawiają duchownych (Melchiora Oszkowskiego proboszcza i oficjała, i Grochowskiego).

Najciekawszy z tych i jedyny osobę świecką przedstawiający, jest portret młodzieńca Jana Zabłockiego, o którym napis świadczy, że umarł w 18. roku życia w r. 1673. Dlaczego portret tego młodzieńca, nieodznaczonego niczem w dziejach miasta, ani nawet z rodziny nieodznaczonej tu umieszczono? trudno dojść. Naprowadza to na

różne domysły, tem bardziej, że w napisie znajdują się wyrazy: *De possessione Zboroviana xenodochii militaris S. Martini*. Łączy się z tem podanie jakiegoś bardzo niedokładne o gwałtownej i niewinnej śmierci młodzieńca, ale teraz już zatarte są prawie wszystkie ślady rzeczywistej prawdy.

KAROL WIDMANN.

## DWA WIERSZE ALBUMOWE.

### I.

#### DO TEODORY, SIOSTRY LUDWIKA NARBUTTA,

WYJEŻDŻAJĄCEJ Z DOMU AUTORA NA TUZACTWO.

Sierocie, co idzie w świat  
Na biedne życie tułacze,  
Rzucam pod nogi nie kwiat,  
Pod jej nogi nieboracze —  
Ni pieśni rozścielam rzewne,  
Te pasma gwiazdzistomleczne —  
Lecz pod jej stopki niepewne  
Kładę poważnej nauki  
Słowa twarde i bezpieczne —  
Jak bruki!

Lwów 11. listopada 1866 r.

Niech więc trwam w Twojej pamięci,  
Nie ten, co często się smęci,  
A potem płomieniem ducha  
Jak wulkan nagle wybucha —  
Lecz ten, co wzruszeniem błady  
Dawał ci braterskie rady,  
A dzisiaj w chwili rozstania  
Podniesione oczy łzawi,  
I Ciebie dziecię wygnania  
Cicho błogosławi.

### II.

#### DO PANNY W. M.

Ledwie Cię ujrzałem, pojąłem Twą duszę,  
Jej ból zrozumiał;  
Znam wszystkie dźwięki — na wszystkie katusze,  
Bom cierpieć umiał.  
Wiem jak jest wstrętnym, kto o ranę trąca  
Zwykłym sposobem —

Lwów 1868 r.

Tyś wzniosła duchem, sercem bolejąca,  
Związana z grobem!  
Jedną mam radę: Kochaj bez miłości \*)  
Co bądź na świecie—  
Grób, Tobie drogi, jest bramą wieczności,  
Tam się znajdziecie.

Kornel Ujejski.

\*) Wyrażenie, zamiast: staraj się coś polubić—zająć się czemś. (P. a.)

## Z A M E K N A S P I Ż U.

PODANIE LUDOWE.

Turysta polski, chciwy potężnych wrażeń, jakich się w życiu człowieka nieczęsto doznaje, nie minął zapewne rodzimych Tatrów, tej imponującej grupy olbrzymów, pełnej niewidzianych cudów przyrody, gdzie oko podziwem płonie, serce drży nieokreślonym uczuciem dumy i cześci, a skroń korzy się mimowolnie przed niebotycznych głazów majestatem.

Kto raz w życiu cuda te zobaczył, kto raz pierś nasycił czystem tem powietrzem, ten o nich nigdy zapomnieć nie jest w stanie, i przez całe życie powracać będzie niezatartem wspomnieniem do ich wzniosłego obrazu.

Gdy staniesz u szczytu którego z tych olbrzymów i rzucisz okiem ku południowi, zatrzyma się wzrok twój na silnie górzystej okolicy, zielonej obszernymi lasami, przerywanej tu i ówdzie paskami małych równinek, na których przy uprawnych rolach ścielą się kwieciste łąki. Bystrym Popradem od dawnego województwa krakowskiego oddzielona, oparta od północy o Tatry, klinem w węgierską wsunawszy się krainę, rozsiadła się tu od wieków Ziemia Spizka, jeden z najcenniejszych klejnotów św. Szczepana.

Piękna ta ziemia, niemal 66 mil kwadratowych obejmująca, związana jest swemi losami z historią naszego narodu. Nazwisko jej czysto-słowiańskie, nazwy miejsc i rzek dowodzą, iż od najdawniejszych czasów była ona w posiadaniu Polaków. Jakoż w istocie wykazują starożytne kroniki, iż Bolesław Krzywousty dał ją w posagu dożywotnim swej córce Judycie, małżonce królewicza węgierskiego, syna Kolomana. Po śmierci Szczepana przejść miał Spiż napowrót na własność polskiej korony. Układ ten nie został jednak wykonany. Węgry zatrzymały Spiż pod swem panowaniem bezprawnie, korzystając z osłabienia Polski. Gdy r. 1412 cesarz niemiecki Zygmunt przyciśniony nagłą potrzebą zmuszony był pożyczyć od naszego Jagiełły 37.000 kóp groszy pragskich, znać, że wielki neofita litewski nie bardzo ufał słowu Jego arcy-chrześcijańskiej Mości, gdy tenże w zastaw oddać musiał królowi ziemię spizką, która słuszością a prawdą oddawna mu się bez owej pożyczki należała. Paweł Gładysz pełnomocnik królewski objął ją w imieniu Jagiełły w posiadanie. Ale zaledwie wielki król oczy przymknął na wieki, już cesarz pokusił się o odebranie tej krainy bez powrotu pożyczonych pieniędzy, lecz usiłowania jego były daremne. Niewykupiony pozostał Spiż przy Koronie, ciesząc się osobnym prawem i pięknymi przywilejami. Później otrzymał go Jan Jordan z Zakliczyna w zastaw za pożyczone skarbowi 12.000 czerwonych złotych, aż go król Zygmunt I w r. 1506 wykupiwszy, w starostwo zamienił. Bogate to starostwo przez

możne i znakomite przechodziło ręce. Z razu rodzina Lubomirskich miała je w swoim posiadaniu; poczem król August III nadał je żonie swej Maryi Józefinie; później r. 1757 minister saski Henryk hr. Brühl, generał artylerii koronnej, objąwszy spizkie starostwo, ustąpił takowego wreszcie 1764 roku Kazimierzowi ks. Poniatowskiemu, podkomorzemu koronnemu, który był ostatnim starostą na Spiżu.

Spiż dostawszy się roku 1772 pod berło austryackie, przydzielony został do Węgier i odtąd utracił zupełnie historyczne swoje znaczenie.

Ziemia ta liczy do 60.000 mieszkańców, a już w roku 1664 posiadała ona w zwyż szesnaście miasteczek, z których najważniejsze Lubowla, było stolicą starostwa.

Nad brzegiem wijącego się wężem Popradu, u szczytu wyniosłej góry stoją ruiny spizkiego zamku. Gdy księżyc jasną nocą w tajemniczy półcień go osłoni, a wietrzyk między zwaliska głęboko się zapuści, grzebiąc w starych prochach — dziwny ton uderza ucho wędrowca. To raz zawodzi płaczem... to znów brzęczy oddźwiękiem metalu... to jęknie głosem boleści...

Jest to duch pokutujący spizkiego zamku...

Lud okoliczny zimowemi wieczory chętnie opowiada o nim podanie, które tu wiernie powtórzę.

\* \* \*

Naprzeciw spizkiego zamku, na polskiej stronie granicy, wznosiło się u stromej skały, porosłej tu i ówdzie karłowym jałowcem, przed dawnymi laty stare zamczysko. Dziś zostało po niem zaledwie kilka niekształtnych kamieni; wówczas spoglądało ono dumnie w około urągając północnym wichrom i groźnie wysuwając wysokie baszty w stronę sąsiednich Węgier. U podnóża skały mruczał Poprad gniewliwy.

Przenieśmy się myślą wstecz o wieków kilka.

U szczytu baszty, wsparty o wyłom strzelnicy dumiał pewnego wieczora pan zamczyska. Chłodny wiatr wstrząsał wylotami płowego kontusza i rozwiewał siwe włosy starca u nagiej skroni, jakby obudzić go chciał z głębokiego dudumania. Wzrok szlacheica błędził bezwiednie po brzegach Popradu, lecz dusza jego była daleko... Wtem spojrzął ku sienie oddali i zadrzał... Oko jego krwawym zagorzało odbłyskiem, na twarz jego wystąpił gorączkowy rumieniec, usta zacięły się bolesnym kurczem, a suche palce zaryły się w mur i kilka oderwanych ułanków posypało się w przepaść...

— Hańba ci sromotna, hańba ci Madjarze! Zemsta moja dosięgnie twej nikezemnej głowy.

I stanął starzec jak posąg skamieniały z wyciągniętą ku południowi prawicą, a piersi jego wzdęły się pod wpływem złowrogiego uczucia...

W stronie, gdzie drżąca dłoń jego wskazywała, czercił się w dali u szczytu góry ciemny punkt, jak gniazdo jaskółcze do niej przyklepiony. Byłto węgierski zamek spizki.

Borsu, magnat węgierski był władcą jego.

Obaj sąsiedzi, potomkowie Lecha i Arpada wstęga Popradu oddzieleni od siebie, od młodości już pałali ku sobie śmiertelną nienawiścią. Czy to spory graniczne, czy inna jaka przyczyna przywiodła ich do zerwania wszelkich ze sobą stosunków — o tem zamileza podanie. Wielkie jednak musiało być między nimi rozdrażnienie, gdy doprowadziło w końcu aż do skrytobójstwa.

Gdybyś mógł być rozedrzyć pierś starego szlachcica i spoglądać okiem badacza w jego wnętrze bolejące — straszny tam przedstawiłby się tobie obraz, obraz do grobowej deski zrosły ze starca pamięcią... Ujrzałbyś tam spienione nurty Popradu, niosące szalonym pędem zwłoki jasnowłosego młodzieńca, ze zabójczym żelazem w piersi i z sinemi ustami, mijające skałę ojczyznanę... Ujrzałbyś w nadbrzeżnym krzewiu ukrytego Węgra o zbroczonym krwią ramieniu, topiącego wzrok nienawiści i nasyconej zemsty w płynącym trupie... a na przeciwnym brzegu ujrzałbyś starca, powalonego boleścią o ziemię, tarzającego się w rozpacz, wyciągającego drżące dłonie ku bezlitośnym falom...

On to, magnat węgierski, wróg domu polskiego szlachcica, dopadłszy na łowach po swej stronie granicy jednaka swego nieprzyjaciela, zamordował śmiałego młodzieńca, co mu hardo stawiał czoło, i rzucił nieżywego w chciwy ofiar strumień wzbudzony.

Rozpacz starca nie miała granic... Jedynak jego padł z ręki wroga, nie w szlachetnej walce, oko w oko, spisa w spisie, lecz skrytobójczym ugodzony ciosem!... Starzec konał w boleści... żądza zemsty utrzymała go przy życiu... Wyschły rozpaczą pragnął jej, jak młodzieniec rozkoszy, jak ginący ratunku, jak skruszony grzesznik pragnie odpuszczenia... Zemsta stała się jego dążeniem — celem jego dni policzonych — jego życiem... Krwawo, bezlitośnie jej dokonać, a potem umrzeć z zadowolenia uśmiechem na ustach, oto jego sny, jego myśl nieodstępna, jego codzienna modlitwa...

Wzywania do walki o śmierć lub życie napróżno czekały odpowiedzi; napad na zamek wroga, by go we własnym dosięgnąć legowisku, równał się niepodobieństwu. Spizki zamek warowny jak mało, a załoga bitna i odważna!... Pan Spiżu śmiał się z pogroźek i urągał z boleści polskiego szlachcica.

Długo... długo suszył mózg blady starzec nad wyszukiwaniem rodzajów zemsty. Zrządzenie losu, czy palec Boży, dopomogły mu wreszcie do urzeczywistnienia jego zamiarów...

Burzliwe czasy nastąpiły dla Węgier. Hordy Turków załwały piękną spuściznę Arpada. Obronne zamki wzdłuż południowej granicy jeden po drugim wpadały w ich ręce. Tysiącami wprowadzano jeńców w jasyr, a popalone wsie i miasta rozsypywały się w zgliszcza i gruzy. Szlachta węgierska poczuła potrzebę wspólnego działania; wszystko, co żyło, spieszyło do obozu, by stawić czoło najezdnikom. I pan na Spiżu otrzymał wezwanie stawienia się u wspólnego sztandaru.

Borsu był ojcem. Małżonka jego, którą ukochał całym sercem i której rękę dopiero po zwalczeniu wielu przeciwników był otrzymał, zmarła na łożu boleści, powiwszy mu córeczkę, żywy swój obraz. Borsu przelał na to dziecko całe swe uczucie, łącząc miłość ojca z miłością matki i strzegąc jej jak oka w głowie. Siostra jego, młoda Jadwiga, zastępowała przy małej miejsce nieboszczki i mimo swej niedojrzałości i swego niedoświadczenia z całą gorliwością zajmowała się pielęgowaniem tego dziecięcia.

Śliczne bo też to było stworzenie: z małej sierotki urosło dziewczę kwitnące zdrowiem i wdziękiem. Gdy w ogrodzie zamkowym igrało u stóp zamysłonej wiecznie Jadwigi, ścieląc jej kwiatki pod stopy lub wijąc wonne równianki, a młodziechna piastunka okiem matki zadumana spoglądała na miłą dziewczę — Borsu stojąc we framudze okna zamkowego lubował się nęcącym serce rodzicielskie widokiem, i mimo gwałtowności dzikiego i nieugiętego charakteru nieraz łza zabłysła w zachmurzonym oku.

Zagrzmiała surma bojowa... Choć serce rwało się do jedynaczki i oko zwilżało na myśl rozłączenia — miłość ojczyzny wzywała na pole walki. Borsu nie zawahał się ani chwili. Zanim jednak po raz ostatni przycisnął dziecko do piersi, wezwał swą siostrę i drżącym głosem tajemniczego przecucia, które zwalczyć w sobie napróżno usiłował, przemówił do niej:

— Jadwigo! Byłem ci zawsze dobrym bratem... Strzeż mi dziecka, gdyż to skarb mój jedyny... Wielką jest ofiara, którą dla kraju mego ponoszę, opuszczając ją w latach młodocianych. Siostrze ciężko mi na duszy i nieznanym uczuciem serce mi tłoczy... Strzeż tego dziecięcia!...

I nagle, jakby widmo złamanego rozpaczą starca stanęło mu przed oczyma, zawołał głosem okropnym, od którego zdrzały szyby w ołowiach:

— Jadwigo! Życiem przepłacisz mi najmniejszą jej krzywdę!...

Nazajutrz Borsu opuścił spizki zamek ciągnąc w dal ku południowi na czele zbrojnego orszaku, a w zamku

pozostała płacząca dziewczoja z piękną swą piastunką i silną załoga ku obronie niewiast.

Cisza zajęła miejsce wrzawy wojennej... Czas płynął w spokoju i tęsknocie. Żołdacy zamkowi, zrazu baczni i ostrożni, z wolna oswoili się z myślą o ciągłym niebezpieczeństwie, i pijąc zdrowie pana popadli w gnuśną nieczynność; tylko Jadwiga kojąc łzy dziewczeczki badała widnokrag wokoło, jakby szukała tęsknemi oczyma jakiegoś ukochanego przedmiotu; i tylko stary klucznik zamkowy czuwał dnie i noce, obchodząc strażę i pilnując kluczy od bramy zwodzonego mostu.

Tak mijały dnie po sobie w jednostajnej ciszy; tylko straż wróciwszy z posterunku opowiadała nieraz przy winie drwiącym towarzyszom o duchu bladego staruszka, co błąka się czasem nocną porą około zamczyska.

Jakże wesoło u polskiego szlachcica?! Szlachta strojno a gwarno oblega trawą zarosły dziedziniec, wysuszając antałki i wznosząc zdrowie po zdrowiu klejnotowej wolności. Między nią krząta się pan zamku. Starowina z gorączkową skwapliwością dolewa i ściska dłonie braci szlachcie, szczególnie polecając jej pamięci młodziana, którego wiedzie pod ramię. Szlachta czapkuję a pije, stary dziekuje a młodemu na ucho szepcze. Nie pojmowano zmiany w starym. Snuto różne domysły o jego nienaturalnej wesołości, z jaką podejmował sąsiadów, i o nagłym przywiązaniu do młodego szlachetki, który pono z dalekich stron się pojawił. Dziwi się okolica; załoga spizka wolna od wszelkiej obawy, w pobliskich wioskach oddaje się wybujałej rozpuszcience, a klucznik zamkowy wzdycha składając Bogu, iż spokój powrócił staremu wrogowi jego władcy.

Szlachcic pożegnawszy gości został sam jeden z młodym Stanisławem. Gorączkowo lecz ostrożnie wziął się do dzieła. Młody i niedoświadczony, według skrytych jego planów posłużyć miał mu do wykonania niezłomnego zamiaru: powinien był starać się o wejście do spizkiego zamku i udzielenie mu pomocnej dłoni; wszak niedaremnie wymówił się był przed nim Stanisław, iż zwiedził całe Węgry w familijnym interesie, że zna całą spizką okolicę i że język Madjarów wcale mu nie obcy. Jakże jednak uderzyło serce staremu, gdy gorący młodzieniec wyśpowiadał mu się z tajemnic serca swojego: zbiegając Spiz nie minął on był i zamku, a bawiąc tamże czas dłuższy nie mógł pozostać obojętnym na wdzięki pięknej siostry magnata; co więcej, gwiazda jego w szczęśliwe zawiodła go miejsce, gdyż Jadwiga pokochała go całą siłą pierwszej miłości. Tylko trwoga przed gwałtownością pana na Spizu wstrzymywała kochanków od wyznania przed nim tajemnicy. Dumny Borsu nigdyby na podobny związek nie dał zezwolenia. Krótko trwały chwile szczęścia; nastąpiło, co nastąpić musiało — rozłączenie.

Po zasięgnięciu takich wiadomości starzec otoczył Stanisława pieczę rodzica; zamek swój, żupan z siebie, swoją osobę nawet poświęciłby był odtąd chętnie zachciankom młodego gościa. A młody, zwykle jak młody, nie spodziewając się zasadzki, stał się poniewolnem narzędziem w ręku krwi łaknącego starca.

Zaledwie minęło dni kilka, Jadwiga dowiedziała się już o bytności w pobliżu Stanisława, który przysiędz musiał szlachcicowi, iż miejsca swego pobytu nie zdradzi. Wkrótce serce dziewczęcia przemogło siłę woli i rozumu; boleść z dłuższego rozłączenia z kochankiem zwalkczyła głos sumienia, a radośna wieść o jego pojawieniu roznieciła żar w jej piersi, którego zimna rozważa nie ugasi!... Zielony gaj nad brzegiem Popradu, nieco oddalony od zamku, nęcił kochanków świeżością swej woni i uroczym szmerem rzeki. Tu było miejsce ich schadzek.

Tymczasem wszelkiej karności pozbawiona załoga spizka hulała po wsiach swobodnie.

Jadwiga zaś, puściwszy wodze namiętności, niepomna przestrogi i groźby brata, oddawała się słodkim marzeniom przy boku Stanisława, jednej wszelako nie zapomniawszy ostrożności: oto nie omieszkała nigdy pozamykawszy własnoręcznie wszystkie do zamku przystępy, nosić pęku kluczy przy sobie u pasa.

Pewnego wieczora, gdy Jadwiga nad rzeką spędzała chwile szczęścia w objęciu kochanka, gdy większa część spizkiej załogi według zwyczaju była nieobecna, przeraził nagle młodych kochanków daleki odgłos wojennej wrzawy. Trwoga owładnęła drżącą dziewicę... blada, na poły nieżywa puściła się ku zamkowi. Jeszcze nie dosięgła granic lasu, gdy ponownie odezwał się w dali głos wołający ratunku, przerywany okrzykiem tryumfu lub jękiem ginących. Przez krzewy i kamienie spieszyła biedna Jadwiga, przyciskając do serca od trwogi dłoń skostniałą. Krzaki darły na niej odzienie, chwyciły za rozpuszczone włosy, ostre kamienie raniły jej stopy. Dopadła wreszcie zamku... lecz jakież obraz ją czekał!... Komnaty zniszczone i porabowane... na dziedzińcu trupy pozostałych obrońców i starego klucznika, a o powierzonej jej pieczy jedynaczce ani słyhu! Podczas jej niebytności mściwy sąsiad ze szlachtą okoliczną napadł na bezbronny zamek, drabinami dostał się na mury, wyciął w pień pozostającą część załogi i uprowadził córkę magnata. Wprawdzie stawiono chwilowy opór; ale ponieważ wszystkie klucze Jadwiga miała przy sobie, żadna ze służebnych niewiast nie mogła tak szybko wydobyć się z murów, by uwiadomić o niebezpieczeństwie wieś i resztę załogi.

Jadwiga padła bez przytomności na ziemię.

Tymczasem w obozie duszna ciężkość tłoczyła pierś magnata... Przechucie okropne, potęgujące się codzień nie

nie dozwalało mu na chwilę spokoju. Dłuższy opór był mu niemożliwy. Dosiadłszy rumaka pędem strzały puścił się w towarzystwie swych zbrojnych z powrotem. Trzy dni i trzy noce trwała szalona gonitwa; nareszcie dopadł spizkiego zamku.

Przecucie nie zawiodło go wcale.

Stary szlachcic usłyszał zbliżającego się wroga, jednak nie zadrzał on wcale; zimny, spokojny, czekał jego przybycia.

— Zbójco!—wołał Borsu z pianą na sinych ustach, wyprzedzając swoich towarzyszy —Zbójco! Gdzie jest moja córka?!

W zamczysku cisza... Najłżejszy szmer nie zdradza czuwającej załogi. Na murach ani żywego ducha.



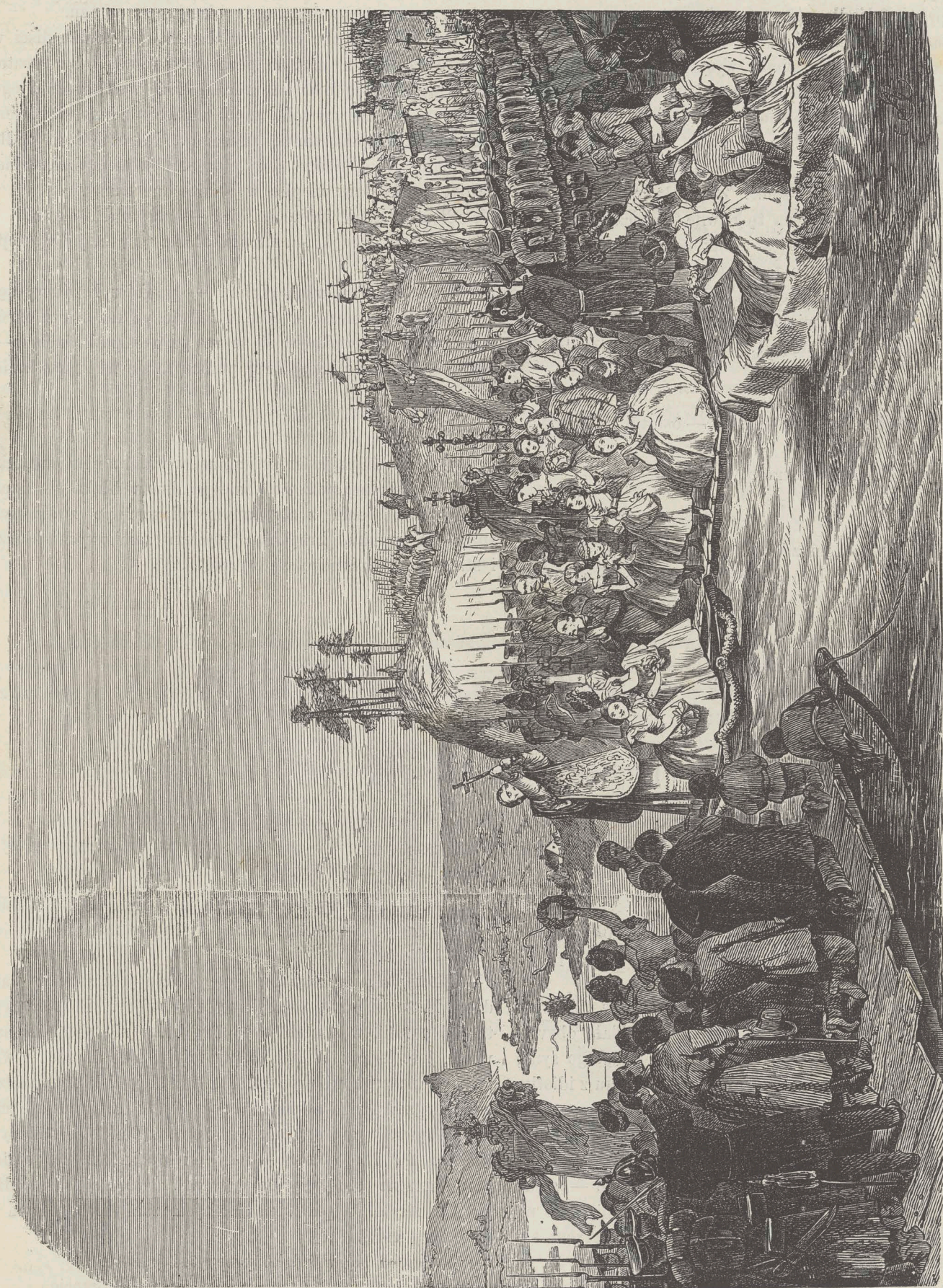
Duch pokutujący w zamku spizkim.

Rozpacz, boleść, wściekłość miały nim na przemian, dosięgając najwyższej potęgi. Na gromowy głos jego tyśiące okolicznych Węgrów pospieszyły dla użyczenia pomocy nieszczęśliwemu ojcu. Wydając dzikie okrzyki zemsty, nicsąc śmierć i zagładę, ruszył tłum rozwścieklony ku polskiemu zamczysku.

Brama zwodzonego mostu jękała od ciężkich razów węgierskich berdyszy.

— Pokaż się zbójco! Nie kryj się w twojej norze!—zawył tłum okrążając mury.

Aż oto na wierzchołku baszty pojawił się starzec sam jeden, zimny jak głaz, spokojny jak grób. Włos rozwiany



Obchód 300letniej rocznicy unii Polski z Litwą pod Kownem 12. sierpnia 1861. (Z rys. A. Grottgera).



podniósł się w górę; z oczu ogień tryskał. Stał nad brzegiem przepaści, trzymając na ręku drzącą z przerażenia dziewczynę.

Borsu zbladł... pot zimny wystąpił mu na czoło... Wyciągnął drżące dłonie do swego dziecięcia, a ono darło się do ojca wołając jego pomocy.

I zagrzmiął w powietrzu straszny głos starca, jak wybuch szalonego orkanu, jak ryk ranionego lwa:

— Borsu! Wydarłeś mi syna! Zamordowałeś mego jedynaka! Długo czekałem na tę chwilę i doczekałem się jej nareście!... Czy pojmujesz teraz boleść ojca?... Czy czujesz niszczące płomienie tego piekła? Daremnie wyciągasz dłonie do tego dziewczęcia... Pamiętasz? Tak i ja wyciągałem bezsilne ramiona za trupem mego syna... Borsu!... Dziecię za dziecię!... Śmierć za śmierć!...

.....

Jeden okrzyk... okrzyk urwany — ostatni... i dziewczę runęło w przepaść...

Za nią potoczył się starzec...

.....

W kilka dni po tem zdarzeniu ponuro było na spizkim zamku... Tłumy milczące z odkrytymi głowami zalewały dziedziniec... a na tegoż środku wznosiło się rusztowanie

czarnym kirem obite... Pień dębowy, na nim miecz czarną wstęgą przepasany, dopełniały okropnego obrazu.

I powstał szmer cichy w tłumie, jak szmer liści w lesie, poruszonych nagłym powiewem wiatru. Na rusztowaniu pojawił się Borsu, raczej cień wyschły dumnego magnata, wlokąc za sobą napół umarłą Jadwigę w białym odzieniu, z rozpuszczonym włosom... Nieszczęśliwa padła na kolana i wypłakane oczy, zasłane bielmem śmiertelnej trwogi, bezwiednie wlepiła w przerażone tłumy.

— Siostrze, gdzie moje dziecię! — zaryczał Borsu.

Jadwiga drgnęła, załamała dłonie, a usta jej wyszpełtały: Litości!...

— Siostrze! gdzie moja córka? — powtórzył mściwy sędzia podnosząc miecz w górę, i ledwie po raz trzeci okropne zapytanie wymknęło się z ust jego — spadło żelazo — i piękna głowa nieszczęśliwej potoczyła się na rusztowanie.

\* \* \*

Borsu szukając śmierci zginął w walce z niewiernymi... a duch osądzonej przez rodzonego brata błąka się nocą w białym odzieniu z rozwianym włosom po zwaliskach spizkiego zamku, brzękając pękiem zamkowych kluczy i strasząc spóźnionego wędrowca....

AURELI URBAŃSKI.

## F R A S Z K A.

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

### II

W nocy odebrał Karol list *pr. eksp.* od ciotki, mieszkającej o mil trzy, i rychło wyjechał, bo chciał przed wieczorem już znowu być z powrotem.

Pani Zaniewska była wdową, dziedziczką Trawna. Miała córkę zamezną, którą za majątnego wydała obywatela, starszego od niej o lat trzydzieści; i żonatego syna, którego ożeniła z posagiem znacznym, a w dodatku z idiotką biedną. Obecnie bawiła się w poswatanie siostrzeńca, ażeby i tegoż, z wyższą spekulacją, do ślubnej powieść przysięgi.

— Przybywasz przecie! — zawołała witając go — a już niecierpliwiam się bardzo. Jesteś za nadto obojętnym na własny interes. Siadaj! No i co? Kiedyż wybierzesz się na Kaszuby?

— Może za tydzień, za półtora — odrzekł rzucając się

na fotel. — Ale czy to tylko nie jaka finta? Bo szkoda byłaby czasu, pieniędzy, tarapania się mil tyle, a jeszcze i fiasco!

— Mówię ci, że majątek rzeczywiście jest znaczny bardzo. Może z jakie czterokroć sto-tysięcy. Proboszczem tamtej parafii, w skutek wypadku, który nie obchodzi nas wcale, jest ksiądz Wilski, znany mi dawniej dobrze, a wuj rodzony naszego wikaryusza. Ten pan Muszalski sprowadził się tam z Augustowskiego przed ośmiu czyli dziewięciu laty, kupiwszy od jakiegoś Niemca wieś Borki. Jest starym kawalerem, i adoptował córkę po bracie, której ojciec okrągluteńkie sto-tysięcy pozostawił. Wiedzą to sąsiedzi, jak kto siedzi. I pan Muszalski jest znanym bogaczem w w okolicy całej.

— Potrzeba się wszelako przepytać jeszcze.

— To też na chybił-trafił nie ożenisz się przecie.

— Czterykroć stotysięcy!...

— Już i sto tysięcy piechotą nie chodzi, zaśmiała się ciotka. Popytaj, pojedź i przekonaj się. Cóżbyś począł z posażkiem panny Górnickiej? Skrzywiła się, ruszając ramionami.

— Czy też ja myślałem żenić się z nią kiedy?! Żadne dziewczę, miłe, dobrze wychowane, podobać się może. Ale... ojciec dzierzawi! Nie w ciemnem bity. Czterdzieści tysięcy i moja osoba w dodatku warte sto przynajmniej. Tak sobie powiedziałem, i od tej nie odstąpię zasady.

— Bardzo słusznie i sprawiedliwie. Tylko na Boga, szanuj się o wszystkim! Kierniewski tylko czycha na jaką pannę posażną.

— Za długo czekał i bankrut bez szansy. Ratuje się tylko blichtrzem jeszcze i wystawnością, która ostatnie resztki w przepaść potraça. A raczej już nawet nie jego resztki, tylko pozarywane na weksle pieniądze. Dużoby tu o tem mówić! Dębownicę mu sprzedadzą, i niema dla niego ratunku, a przynajmniej nie u nas. Chyba jaki nizki parweniusz dałby mu jeszcze córkę. Lecz i o tem wątpi kościół Boży. Wymądrzeli i oni, a zresztą i duch czasu!... Jedynie mogłaby go poratować jaka stara panna bogata, albo też wdowa. Tylko gdzie ich poszukać na prędce? Za długo czekał.

— Mógł się ożenić z Filipiną.

— Brzydka jak noc, o co mniejsza; ale ona ma tylko trzydzieści tysięcy. Wszakżeż mnie tam przez gwałt ciągnęli. Gdybyć była miała trzykroć, ha to jeszcze!... choćby i nie z gustem!

— Tak, gdyby to trzydzieści na trzykroć przemienić można! Nieszczęsne zero. No i Feliks naprawdę po deklaracji?

— A tak, półgłówek! Byłby lepszą mógł zrobić partyę. Gdyby zresztą i Filipinę.

— Podobno, że z Teresią i dziesięciu tysięcy nie dostanie.

— Być może.

— Dzieci troje. Blichtr!

— Zarznie się chłopak. A mówilem!... Ciociu, czy ten pan Muszalski jest rzeczywiście szlacheccem?

— Niezawodnie. Poszukałam go w Niesieckim. W tej chwili nie pamiętam herbu. Pokażę ci.

— Mnie o to nie chodzi wcale, bo jestem zasad demokratycznych, ale—wszelako.

— Ej naturalnie!

— Czterykroć! Gdyby i nie był szlacheccem. Ale panna była w Dreźnie?

— Przed rokiem niespełna wróciła dopiero.

— Że to nikt dotąd nie znalazł się jeszcze.

— Niemasz tam podobno domów polskich tak blisko. Nieznani. Stary kutwa nigdzie z nią nie bywa. Ale spiesz się zawsze i nie odwołcz. Bo może się kto znaleźć.

— Posłucham kochanej cioci. Wprzód wszelako jeszcze zapytam tu i ówdzie.

— Pamiętaj tylko: pan Muszalski, wieś Borki pod miastem Skowronowem, czyli *Lerchenberg*.

Karol zapisał sobie w notatkach.

— Wprost zajedziesz do proboszcza Wilskiego, wikary uprzedzi go o wszystkim. Ja także napiszę. Można rzecz tak ubrać, że on był twoim nauczycielem; że ty, jadąc gdzieś tam zboczyłeś, by go przez wdzięczność i przyjaźń odwiedzić. A zrobi się zgrabnie.

Pani Zaniewska pod tym względem różne jeszcze nauki siostrzeńcowi dawała. Po obiedzie wyjechał, i zamiar stanął, że niezadługo w onę konkurencyjną wybierze się podróż. Około godziny szóstej przejeżdżał przez Złote-Górki i patrzył się na piękny pałac, po za nim park, zamarzywszy, że i on kiedyś dziedzicem podobnego będzie majątku, gdy pozyska ozłoconą rączkę dziedziczki na Kaszubach.

Wjechał do Wierzewa i spojrzął na dwór obszerny, którego okna jasno w przedzachodnim połyskiwały promieniu. Jedno stało otwarte, dojrzał białą firankę—był to pokój panny Heleny. Patrzył się... cugowce chciały skrócić w topolową ulicę ku bramie, znać tędy często chodziły.

— Ruszaj! — zawołał nagle oekniiony.

Czwórka z wolantem pogoniła przez wieś. Tuż ponad drogą ładny, murowany stał domek. Był na nim krzyż zawieszony i obrazek za szkłem Matki Boskiej. Mieszkały tam trzy siostry: służebniczki Panny Maryi, które dziedziczka już od lat paru osadziła tamże. Przy domku był ogród z żywopłotem. Z tyłu warzywny—od przodu, na dużym trawniku wiekowa rozłożyła się lipa. Trawnik młodzieńcza zaległa dziatwa. Jedna ze służebniczek właśnie pobożnej uczyła ich pieśni. Druga szła opodal. Odnaczały je suknie szafirowe, białe fartuchy w prążki, i białe krochmalne chustki na głowach.

Karol spojrzął się na ten obrazek, ale obojętnym okiem. A raczej lękał się, by tam wśród tej gromadki jednej jeszcze powabnej nie było postaci, z którą nie radby się spotkał, a która jak wiedział, niemal dnia każdego tam bywała. W tem dojrzał ode dworu popielatą sukienkę, słomkowy kapelusik okrągły, dziewczuskę z koszykiem.

— Ruszaj! — krzyknął i poruszył się niecierpliwie.

Cugowce pogoniły ze wsi na żwirówkę. Przy drogach krzyżowych spotkał Władysława, jadącego parą kasztanków i *gig*'iem.

— Dobry wieczor! Dokąd? — zapytał.

— Do Złotych-Górek. Mam interes w leśnictwie. Zkąd jedziesz?

— Z Trawnej od ciotki. Myślałem, że jedziesz z wizytą do państwa Górnickich.

— Nie dziś.

— Dobranoc!

— Do zobaczenia!

Gdy Władysław przez wieś przejeżdżał, a dom służebniczek Panny Maryi jego zwrócił uwagę, zobaczył pod drzewem, wśród dziatwy wiejskiej, wdzięczną młodą postać niewieścią, szczupłą, zgrabniutką, ładnego lica, która malcom w około owoce wydzielala z koszyczka. Na gałęzi zawiesiła słomkowy kapelusik. Ciemne włosy, gładko przyczesane, składną zdobiły główkę. Całość obrazka o wiele jeszcze ładniejszą teraz była i zajmującą więcej, aniżeli gdy Karol tędy przejeżdżał.

Władysławowi ręka zadręnęła, by się pokłonić — ale, wszakżeż znanym nie był? i *gig* dalej pojechał.

— To jest ten nowy pan z Lesina — wymówiła Frącia, dziewczuszka z koszyczkiem—widziałam go, kiedy to był u naszego wielmożnego pana.

— Domyślałam się — odrzekła panna.

— A przejeżdżał też przed chwilą tędy pan z Łuczyny — ozwała się jedna ze służebniczek.—Jużem myślała, że do dworu pojedzie, niby już konie skręcały, ale potem dalej pojechał.

Nieco przybladłe a nader miłe oblicze Heleny zróżniewało nagle, i pochyliła się ku ładnemu, czteroletniemu dziewczętku, zapytując o pieśń, której służebniczka, siostra Katarzyna pouczała je właśnie.

Karol marzył przez noc całą o stu-tysiącach posagu, i w perspektywie stryju z czterma krociami. A powtarzał sobie ciągle: „Potrzeba się wywieść, ażeby nie doznać zawodu! Potrzeba przepytać się dobrze.“ Z obywateli wszelako nikogo w tamtej dalekiej nie znał okolicy.

Rano, w bonzurce i fezie wyjrzał właśnie przez okno, i dojrzał konia okulbaczonego przed karczmą.

— Cóż to tam za koń przed gościńcem? — zapytał służącego, wnoszącego samowar.

— To, jasnie panie, żandarm Kratz. Szuka złodziei, bo ukradli krowę na hubach. Wypuścili znowu kilkunastu z Kościana czyli Rawicza, i te łazęgi włóczą się teraz i kradną, psie wiary. A wyuczili się tam pomiędzy drugimi tego, czego nie umieli jeszcze, gdyby na akademii. Czemu ich to lepiej zaraz do jakiej nie nagnali pracy? Bo i cóż mają robić, cóż mają począć? tylko kraść!

Ta uwaga Jakuba, biorącego rzeczy na zdrowy rozum, przebrzmiała około uszów pana, bo myśli jego wcale inny wzięły kierunek.

„Kratz... hm!“ — strzeliło mu przypomnienie, że Kratz tu z Skowronowa przybył, i to przed dwoma laty dopiero. Gratka Opatrzności.

— Poproś go, dam mu herbaty—wymówił do Jakuba — taki żandarm bywa potrzebnym niekiedy.

— To jest prawda, jasnie panie.

— Dawne mówi przysłowie: kto mieszka na przedpieklu, winien djabła w kumotry poprosić.

Niezadługo brzęknął pałasz w przedsieni. Potem ostro-

źnie drzwi otworzono, i wsunął się, idąc w ciężkich butach na palcach by nie stuknąć, sążnistej postawy przestrzegacz obwodowy policyjnego porządku, niosąc hełm z żółtej blachy pod pachą.

— *Unterthänigsten guten Morgen, gnädiger Herr*—pokłonił się dziedzicowi Łuczyny.

Pan Karol uprzejmie go powitał i siedzieć prosił.

Żandarm przysunął krzesło, usiadł ostrożnie, by nie brzęknąć ostrogami, i szablę z cicha opuścił.

— Napijemy się herbaty, bom i ja nie po śniadaniu jeszcze — wymówił pan domu dobrą niemczyzną.

Jakub szklanekę dużą nalał i karafkę z rumem przysunął.

— A podaj też jaką mięsną zakąskę — rozkazał pan domu.

Co także niebawem skutecznionem zostało.

Żandarm opowiadał o swoich fatach nocnych, jak to gonił złodziei, którzy mu gdzieś zniknęli. Ale ich wkrótce niezawodnie wytropi: *Desswegen lasse ich mir kein graues Haar wachsen*.

Karol słuchał cierpliwie wszystkiego, przytaknął nawet samochwalczym floreskom bohatera siły zbrojnej obwodowej, a Jakub wychodząc pomruknął coś tam sobie niezrozumiale: „Gdybyć tylko... o kogo innego chodziło, a nie o złodziei!“

Po wyjściu służącego zapytał pan Karol o Skowronowo.

— *O, ein schönes Städtchen, Lerchenberg!* — zawołał żandarm, zapewne jakim miłym uniesiony wspomnieniem, boć każdy ma swoje kwiaty wiosenne, nawet i żandarmi.

Karol zapytywał, jak długo pan Kratz w Skowronowie zostawał? Zapytany odpowiedział, że w *Lerchenbergu* przez lat dziesięć fungował.—A zatem doskonale znać musiał okolicę całą?—Rozumie się, że znał.—Więc i pana Muszalskiego w Borkach?

— *Ganz vorzüglich!* — odrzekł z rozjaśnionem, pod nastrzepioną brwią okiem — *ein vortrefflicher Herr!*

— To majątny człowiek? — zagadał Karol zatrzymując oddech.

— Hoho!—pogwizdnął pan Kratz przez zęby—*sehr reich!*

Kawaler rażno odetchnął. Kratz bywał w Borkach. Widział panienkę zanim do Drezna wyjechała.

— *Ein kugelrundes niedliches Fräulein!*—I opowiadał dalej, jak to pan Muszalski pieniądze zgarnia; nie wyjeżdża nigdzie, u niego mało kto przebywa, a ze wszystkiego potrafi zyski wyciągnąć.

— *Der alte Herr muss steinreich werden* — dodał w końcu.

Pan Karol był wielce zadowolony.

Potem zaczął żandarm utyskiwać, jak to znowu parę majątków w powiecie marnieje, a pomiędzy temi i Dębownica.

— *Schade! Sehr Schade!* — wymówił niby z politowaniem, gdy mu filuternie oczy błysnęły — *ein schöner Herr, ein guter Herr!*—i dopił drugiej szklanki, mocno podsyconej rumem.

W końcu dodał, że Dębownicę zamierza kupić pan baron *Sitzblitz* z Pomeranii, ale poczeka na subhastę.

— *Schade, wirklich Schade!* — powtórzył raz jeszcze,

sięgając po podaną sobie przez gospodarza *Butterschnitte*, grubo szynką obłożoną, czem tryumfalnie dowiódł odwagi, że bynajmniej nie obawia się trychin.

Tak zakończyła się konferencja z żandarmem Kratzem, i pan Karol na dobre począł się w kraj Kaszubów wybierać.

Dalszy ciąg nastąpi.

## K R O N I K A.

### Z kraju.

(Usłużność koleżeńska). Żadne z pewnością dziennikarstwo nie mogłoby się poszczycić taką usłużnością koleżeńską, jak nasze. Niech tylko rozejdzie się wieść, że ma powstać nowy dziennik: już ta usłużność krząta się co prędzej, by naprzód przygotować mu grób w opinii publicznej; jeżeli zaś mimo to odważy on się przestąpić próg życia i w najlepszej nawet wierze ofiarować usługi swe krajowi: już ta sama usłużność nie wypuszcza go ani na chwilę z swojej koleżeńskiej opieki, starając się z całą uprzejmością to podstawić mu zręcznie nogę, to wyścielać drogę cierniem i grudą, a gdy i to nie pomaga, nie waha się nawet podawać w podejrzenie jego dążności, ażeby tylko przysłużyć mu się jak najlepiej. A wszystko to—jak się rozumieć powinno samo przez się — dzieje się zawsze tylko w interesie kraju, dla dobra publicznego i w imię demokratycznej idei braterstwa i miłości chrześcijańskiej! Wstyd powiedzieć, ale właśnie ci, którzy najgrubiej wypisują te święte hasła na sztandarze swoim, najwięcej je naruszają sami. Moglibyśmy przytoczyć tu niejedną przykłąd z obcego i z własnego doświadczenia, ale nie jesteśmy miłośnikami kronik skandalicznych. Chcemy tylko odpowiedzieć jednemu z owych organów demokratycznych, który właśnie dla wyświadczenia pismu naszemu takiej przysługi koleżeńskiej rzucił na nas podejrzenie, jakobyśmy przy dobieraniu kliszów drzeworytniczych dla naszego pisma dopuszczali się naruszania cudzej własności. Otóż możemy zapewnić ów szanowny organ, że dotychczas nie przyniosło pismo nasze i nie przyniesie nigdy żadnego drzeworytu, któryby nie był w uczciwy sposób nabyty (czem inne pisma illustrowane nie koniecznie mogą się pochlubić), i że również owe drzeworyty Grotgera, któremi tak bardzo się interesuje, nabyliśmy od właściciela, mającego prawo rozrządzać niemi, jak się o tem łatwo przekonać można; a czy który z nich był już kiedykolwiek i gdzie używany, to — zdaje nam się — rzecz wcale obojętna. Zresztą my nie zaglądamy nigdy na cudze podwórza, i radzibyśmy, żeby i nami nikt się nie opiekował.

(Piśmiennictwo). Oddawna już nie zapamiętano takiej posuchy w literaturze naszej, jak w tej chwili. Pisma czasowe mnożą się nad miarę a nawet powiedzielibyśmy nad potrzebę, a poważniejszych wydawnictw literackich lub naukowych prawie nie widać. Oto cały plon najnowszy:

W Krakowie: Jagiellonki polskie, dzieło prawdziwie pomnikowe Aleksandra hr. Przezdzieckiego, którego dwa tomy już wyszły, a trzeci jest pod prasą.

W Poznaniu: Z ubiegłych dni, poezye bezimiennie wydane nakładem A. Wienbracka w Lipsku. Czytelnicy nasi mieli już sposobność, poznać nieco ducha i wartość tych poezyj z przytoczonego w 8. zeszytce „Strzechy“ ustępu przez naszego korespondenta poznańskiego; teraz zaś musimy dodać jeszcze niemiłą wieść, że przed kilkoma dniami skonfiskowała policja poznańska te poezye panu M. Leitgeberowi, u którego był główny ich skład dla W. Ks. Poznańskiego. Pokazuje się więc, że i w Prusiech rozumieją się na wolności prasy.

Nakoniec Warszawa obdarzyła nas także wiązką poezyj p. Witolda Jaroszyńskiego, obejmującą pod tyt. „Szał i miłość“ 5 obrazów dramatycznych, których tło stanowią głównie uczucie i namiętność. Jestto widocznie pierwsza próba tego autora, która zresztą przy dość licznych słabościach swoich i opacznym zapatrywaniu się na świat znamionuje pisarza z talentem.

Prócz tego wydała Warszawa w tych czasach dwa cenne dzieła naukowe, mianowicie: „Wykład systematyczny logiki“ dr. filozofii Henr. Struvego, i „Wykład porównawczy prawa karnego“ profesora szkoły głównej Stan. Buźnińskiego.

Tu nakoniec wymienić potrzeba jeszcze wydane w Braunschweigu poważne dzieło kanonika Eichhorna o Kromerze.

Z wydawnictw świeżo zapowiedzianych zasługują na wzmiankę:

We Lwowie: „Dzieje panowania Stanisława Augusta“ Henr. Schmitta, i „Encyklopedia do krajoznawstwa Galicyi“ Antoniego Schnajdera, która wychodzić będzie w zeszytach.

W Krakowie: „Książeczki naukowe a popularne z ilustracyami.“ Hip. Witowskiego.

W Sanoku: „Obrazy galicyjskie.“ J. Gordona.

W Poznaniu: „Rachunki z r. 1867.“ B. Bolesławity.

W Warszawie: „Wydawnictwo ilustrowane ludowe“ Nowoleckiego.

(Dziennikarstwo). Nierównie obfitszym jest stosunkowo najnowszy plon na polu prasy peryodycznej, powstały bowiem w ciągu miesiąca lipca następujące świeże pisma czasowe:

We Lwowie: „Słowianin“ pismo poświęcone sprawom słowiańskim, i Poczta handlowo-przemysłowa, poświę-

cona głównie inseratom i rozsyłana dwa razy w tygodniu bezpłatnie. Pierwszego pisma, t. j. „Słowianina“ pod redakcją Kazim. Turowskiego wyszedł już zeszyt pierwszy, ale w artykułach jego przebijają się zanadto widocznie dążności, nie mogące znaleźć sympatyj w kraju.

Drugi dziennik: „Poczta handlowo-przemysłowa,“ istotnie bardzo pożyteczny dla świata handlowego, znacznie wychodzi z dniem 1. sierpnia r. b. pod redakcją Jana Rogusa.

Na Szląsku w Cieszynie powstał nowy dziennik polityczny: „Nowiny Szląskie,“ atoli z zamiarem nieuczciwym szkodenia poczciwej i zasłużonej „Gwiazdce Cieszyńskiej“; a w Prusiech zachodnich w Chełmie zaczęło wychodzić pismo religijne i obrazkowe dla ludu: „Katolik“ pod redakcją znanego zaszczytnie przyjaciela ludu J. Chociszewskiego. Takiemu wydawnictwu należy się szczere życzenie: „Szczęść Boże!“

(Przeglądu polskiego, Zeszyt I. Roku III. na miesiąc lipiec zawiera następujące artykuły: „Stanowisko c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego wobec nauki i kraju,“ przez profesora dr. Majera.—„Bezkrólowie po Zygmuncie Auguście i Elekeya króla Henryka przez Tadeusza Pilińskiego (c. d.)—„O kredycie rolniczym i jego instytucjach“ przez Kaz. Chłędowskiego (dok).—Siegfrieda Hüppego: „Verfassung der Republik Polen“, przez Józefa Szujskiego.—„Literatura rosyjska: „Iwan Turgeniew i jego powieści“ przez Leona Kaplińskiego.—„Przegląd literacki i artystyczny“ przez Józefa Szujskiego.—„Kronika bibliograficzna.“—„Przegląd polityczny“ przez St. Koźmiana.—„Sprawy ekonomiczne krajowe“ przez C. Hallera.

(Sztuki piękne.) Komitet zachęty sztuk pięknych w Warszawie zakupił do rozlosowania pomiędzy członków następujące obrazy znane po części z wystawy lwowskiej: Kaplicę Batorego (Gryglewskiego); Karowanie drzewa (Pilatego); Bitwę pod Warną (Sypniewskiego); Powrót z pola (Szermentowskiego); Michał Anioł (Karelli); Smoleń (Brzozowski) i Góry nad Czarnym Stawem (Marszewskiego).

Ten sam komitet ogłosił konkurs architektoniczny na zaprojektowanie teatru ludowego w Warszawie, ale udział w tym konkursie mogą brać tylko artyści w kraju zamieszkałi.

— Skrzypek Lauvernay, rodem z Krakowa, znany zaszczytnie w Królestwie Polskim, dawał niedawno koncert w Krakowie, i sprawozdawca „Czasu“ wyraża się z wielkimi pochwałami o grze jego.

— W Krakowie wydana została Mapa fotolitografowana okolic Krakowa w kilku kartach arkuszowych według oryginału ułożonego w oddziale sztabu jeneralnego. Jestto publikacja bardzo pożyteczna, tylko niektóre nazwy miejscowe są przekrecone.

— Staraniem hr. Przezdzieckiego wyszedł fotografowany portret hetmana Czarnieckiego, zdjęty z oryginału znajdującego się na zamku królewskim w Berlinie.

— Na wystawie obrazów w Berlinie podobały się wielce akwarele Oskara Wiśniewskiego.

(Pomniki). Posąg przeznaczony na grób Ar. Grottgera, dłuta znakomitego rzeźbiarza naszego p. Filip-

piego, jest już na ukończeniu, i można rzec śmiało, że usprawiedliwia sławę swojego mistrza.

— Pomnik na pamiątkę stuletniej walki narodu polskiego o niepodległość, wzniesiony w Rapperswyl na ziemi szwajcarskiej, a którego poświęcenie odbędzie się na dniu 15. sierpnia r. b., przyniosły już rozmaite pisma ilustrowane w drzeworytach. I „Strzecha“ poda go w swoim czasie z opisem całej uroczystości pióra p. Kornela Ujejskiego.

(Wynalazek). Na szczególne polecenie zasługują Okulary ochronne dla robotników, pracujących przy metalach, jako to: ślusarzy, kowalów, tokarzy, polerników, kotlarzy, giserów i innych, wynalazku dr. Hermana Cohna w Wrocławiu z miki (Glimmer), które zalecają się tem, że są bardzo lekkie, tanie i wcale się nie tłuką, nawet silnie rzucone na ziemię.

(Nekrologia.) Dnia 13. lipca r. b. zmarł w Mińsku Konstanty hr. Tyszkiewicz, znany zaszczytnie w piśmiennictwie naszym archeolog, który jeszcze na krótki czas przed śmiercią wydał dwutomowe, bardzo szacowne dzieło archeologiczne: „O mogiłach i kurhanach na Rusi“

#### Ze świata.

(Kilka rysów charakterystycznych z życia teźniejszego Papieża). Pius IX. jest młodszym synem familii hrabskiej Mastai-Feretti i urodził się dnia 13. maja 1792. Za młodu miał wielki pociąg do stanu wojskowego, a już samo urodzenie nadawało mu prawo wstąpienia do gwardyi szlacheckiej. Przyjęto go też do niej, ale wkrótce dotknięty został jakąś słabością, którą uważano za niepodobną do wyleczenia.

Pius VII., ówczesny Papież, kochał go bardzo; dowiedziawszy się o słabości Mastaji, napisał doń pewnego dnia następujący bilet:

„Mój kochany Mastai, przyjdź do mnie dziś o godzinie 2giej; mam Ci coś oznajmić od Ojca niebieskiego.

Pius VII.“

O godzinie 2giej udał się Mastai do Watykanu. Pius VII. wezwał go, ażeby wstąpił do jakiego zakonu.

Porucznik gwardyjski westchnął. — „Niestety — rzekł — to samo nieszczęście, które zmusza mnie opuścić stan wojskowy, nie dozwoli mi także poświęcić się innemu zawodowi.“

— „Bóg żąda tego od Ciebie, mój synu — rzekł Papież. — Idź i błagaj go o uzdrowienie twoje w kościele St. Angelo.“

W sześć miesięcy potem był Mastai uzdrowiony; rozpoczął uaukę teologiczną w Volterra, został księdzem, później misionarzem w Chili, a nakoniec arcybiskupem w Spoleto i Imoli w r. 1832. Już w r. 1840 otrzymał purpurę kardynalską.

Nie mając własnego majątku i będąc ograniczonym tylko na szczupłą pensję swoją, nie mógł arcybiskup pomimo wrodzonej oszczędności reprezentować należycie swojego stanowiska. Był tedy w ciągłych kłopotach.

Pewnego dnia wszedł do gabinetu jego marszałek mocno zafrasowany i oznajmił, że niema już ani szeląga w domu.

— „Bóg łaskaw, poradzi na to“ — odpowiedział prałat spokojnie.

— „Ale wierzycciele nasi naciskają strasznie.“

Kardynał Mastai-Feretti oddał marszałkowi ostatnie pięćdziesiąt talarów.

Nazajutrz jednak znikły te pieniądze z kasy bez śladu. Marszałek biegał po całym domu jak oparzony, kłął, lajał służących i groził im wypędzeniem.

— „To wypędźże mnie!“ — rzekł kardynał. — „Jam winowajca!“

Istotnie wziął on sam skrycie pieniądze z kasy i wydał je na jałmużny. Nieszczęściem przybył tego samego dnia biskup z Spoleto w odwiedziny do niego, i biednemu kardynałowi nie pozostało nic innego, jak tylko zastawić swój zegarek na pokrycie kosztów obiadu.

Zbytecznym byłoby, do licznych opisanych już rysów charakterystycznych tego wielkiego męża dodawać nowe jeszcze. Poprzestaniemy więc na przytoczeniu kilku jeszcze tylko anegdot z Watykanu, które rzucają najlepsze światło na charakter Ojca św.

Roczne dochody Papieża wynoszą zaledwie trzy miliony, od których trzeba odliczyć jeszcze koszta nuncyatur, place kardynałów, wydatki na utrzymanie pałaców papieskich i t. d., tak że dla Papieża nie pozostaje rocznie więcej, jak 25.000 franków.

Gdy po obraniu jego ofiarowali mu żydzi z Ghetto kosztowny starożytny puhar, odpowiedział on deputacyi:

— „Przyjmuję Wasz upominek, moje dzieci, i dziękuję Wam serdecznie. Ale powiedźcie mi, jaka jest rzeczywista wartość tego pucharu, nie licząc kosztów wyrobu.“

— „Pięćset sztuków“ — odpowiedziano mu.

— „Dobrze! Tu jest tysiąc sztuków; weźcie je i rozdajcie pomiędzy ubogie rodziny w Ghetto.“

Gdy Fanny Elsler w r. 1847 tańczyła w Rzymie w teatrze Argentina, złożyli jej zachwyceni wielbiele sumę 12.000 franków, ażeby sprawić dla niej złotą koronę. Ale nim to nastąpiło, chciano wprzód uzyskać na to pozwolenie Ojca św., który mógł zganić krok taki przy panującym w kraju niedostatku.

— „Dajcie jej waszą koronę“ — odpowiedział Papież. „Nie widzę w tem nic, coby mogło naruszać godność mojego kościoła, lub zagrażać bezpieczeństwu państw moich. Ale pozwólcie mi powiedzieć, że wybór waszego upominku dla taneczniczki wcale nie jest szczęśliwy. Jestem wprawdzie tylko ubogim kapłanem i nie rozumiem się na takich rzeczach; ale zawsze byłem tego zdania, że korona należy się głowie nie nogom.“

Fanny Elster otrzymała istotnie swoją koronę. Ale gdy oznajmiono jej odpowiedź Papieża, ofiarowała 6.000 franków na ubogich.

(Największy bogacz na świecie). Statystyka nie zna tradycyi ani przesądów; w cyfrach spoczywa jej potęga, i niemi to pozbawiła ona dziś Rotszylda całego uroku.

Mniemanie, jakoby Rotszyld paryski był największym bogaczem, zostało rozwiane obliczeniem pewnego Francuza, który ułożył listę najbogatszych ludzi na całej kuli ziemskiej.

Podług tej listy są cesarze i królowie biedakami; największy bogacz nie mieszka nawet w Europie lecz w Ameryce, i jest po prostu tylko rzemieślnikiem. Ludzie o słabych nerwach mogliby dostać zawrotu głowy, czytając cyfry, w jakich przedstawia się majątek tego Krezusa. Dochody jego wynoszą niepodobną prawie do uwierzenia sumę 60 milionów franków rocznie, zatem reprezentują kapitał w sumie jednego miliarda i dwiestu milionów; ma on więc do rozporządzenia 5 milionów miesięcznie, albo 169.000 franków dziennego dochodu.

Drugim z kolei najbogatszym człowiekiem jest podług tej listy jakiś Rosjanin, który przy dokładnem obliczeniu może wydawać dziennie 121.000 franków bez naruszenia swojego kapitału. Po tem Rosjaninie następuje Anglik, który posiada ogromne dobra; gdy tymczasem Rotszyld, ów okrzyczany bogacz, jest dopiero jedynastym w liście Krezusów nowoczesnych! Ale mimo to zgodziłby się każdy na to, żeby być dwunastym z kolei.

Kiedy zaś mowa o bogaczach, nie od rzeczy będzie wspomnąć tu jeszcze o milionerach pruskich. W r. 1866 liczono w Prusiech 144 milionerów, z których przypadało na prowincję Brandeburską 66, na Szląsk 29, na prowincję nadreńską 17, na Westfalię 10, na Saksonię 7, na Pomorze 6, na Pecznańskie 5, a na zachodnie Prusy 4. Prowincya Brandeburska jest dlatego najobfitsza w milionerów, ponieważ ściągają się oni ze wszystkich prowincyi do Berlina. Pomiędzy milionerami są znowu ubodzy i bogaci; ubodzy muszą poprzestawać na lichych 1 lub 2 milionach, i takich jest 92. Po tych następuje 38 milionerów posiadających 2 — 3 milionów, a 11 z 5 — 8 milionami. O wiele wyżej od tych pospolitych milionerów stoi trzech arcy milionerów, z tych jeden w obwodzie Münster, a dwóch w obwodzie Opolskim. Do tych trzech arcy milionerów przybył jeszcze od r. 1866 jako arcy-arcymilioner baron Rotszyld, który znowu podług powyższej listy jest chudopacholkiem w porównaniu z innymi.

(Potępienie tytoniu.) Nieraz już zdarzało nam się czytać szerokie i głębokie rozprawy o szkodliwości tytoniu, ale nigdy jeszcze nie natrafiłszy na tak dobitną, z jaką wystąpił w najnowszym czasie w amerykańskim czasopiśmie „Atlantic Rewiew“ jakiś zaciekły nieprzyjaciel tytoniu i apostoł wstrzemięźliwości. Na próbkę przytaczamy tu niektóre ustępy z jego filipiki antytytoniowej.

Podług jego zdania jest hańbą i wstydem dla człowieka, mówić, że mu sprawia przyjemność fajka tytoniu. Przedewszystkiem nie powinni palić tytoniu czeladnicy murarscy i żołnierze, gdyż tytoń pozbawia ich odwagi i siły do znoszenia trudów. „Rozumny generał — powiada on — który chce mieć dzielnych żołnierzy, powinien odjąć im nie tylko tytoń, ale także kawę i herbatę;“ i większą część chorób w szpitalach wojskowych przypisuje on głównie paleniu tytoniu przez żołnierzy.

Podobnie jak żołnierz, nie powinien także majątek używać tytoniu, który w ogóle żadnemu człowiekowi nie przynosi pożytku. „Miazmy tytoniu są w najwyższym stopniu szkodliwe zdrowiu. Palenie tytoniu jest zdradą cywilizacyi. Studenci, którzy oddają się temu nałogowi, stają się prostakami, cały ich sposób myślenia, całe ich postępowanie odznacza się nieokrze-

saniem i rubasnością. Przez ten czas bowiem, gdy piją i gębę swoją zamieniają w komin, mogliby w przyległym pokoju zajmować się szlachetniejszą zabawą. Tam grają świetne fantazyje na fortepianie, tam świeży głos nuci zachwycającą piosenkę, tam krzątają się wesoło młode, piękne dziewczęta. Ale na takie wzniosłe, czyste rozkosze jest fajczarz obojętnym, on zna chodzi całe szczęście tylko w swoim zmysłowym, barbarzyńskim nałogu. A przecież rości sobie taki człowiek moralną wyższość nad istotami tak delikatnymi i miłymi, jak kobiety, nad istotami, które mają nierównie więcej cywilizacji, niż on! Tak jest, tytoń to największy nieprzyjaciel kobiet, najgorszy ich rywal, i przeto muszą one go nienawidzić.“

W końcu zaś niby wyciągając ogólny wniosek z tych rozumowań powiada autor: „A więc można rzec śmiało, że człowiek, który pali tytoń, przestaje być człowiekiem a staje się najplugawszem zwierzęciem. Zresztą niemasz lotra ani zbrodniarza na świecie, któryby nie był oraz niewolnikiem i wielbicielem tej szkaradnej rośliny, a kto by zdołał pokazać mi wyjątek w tym względzie, dam mu w nagrodę dwa białe kosy.“

Tak wymyślają na tytoń w Ameryce, w właściwej ojezynie tytoniu; ale czyż choć jeden z nas przestanie go palić dlatego?!

(Statystyka samobójstw) wykazuje, że najczęściej samobójstw popełniają Niemcy, po nich następują ludy romańskie (Francuzi, Włosi i t. d.), Słowianie zaś mają najmniej skłonności do samobójstwa. Najwięcej samobójstw w Niemczech przypada na Saksonię, następującą w wykazie statystycznym zaraz po Danii, gdzie rocznie na 1 milion ludzi liczą 276 samobójstw. W Saksonii naliczono ich w roku zeszłym 245, w Prusiech 122; najmniej było ich: w Lombardyi 16, w Irlandyi 10, w Portugalii 7 na jeden milion ludzi. Co do wyznań dowiedziono, że najbardziej skłonni są do samobójstwa protestanci, co zapewne policzyć wypada na karb przeważnie niemieckiego ich pochodzenia. Najmniej samobójstw zdarza się pomiędzy żydami. Dawnemu zresztą mniemaniu, że dnie posępne i mgliste powietrze wywołują głównie splin i melancholię, zadaje kłamstwo wzmagająca się widocznie liczba samobójstw w ciągu miesięcy letnich. Tak np. gdy we Francyi zdarza się w przecięciu 80 samobójstw w miesiącach zimowych: listopadzie, grudniu i styczniu, — naliczono ich aż 107 w miesiącu maju, i prawie tyleż w czerwcu i w lipcu. W Anglii jest także różnica między zimą i latem bardzo znaczna, a roczna liczba samobójstw wynosi tam w przecięciu 240.

(Nowa roślina pożywna). Zaczynają teraz wiele mówić na Zachodzie o roślinie zwanej Arracacha albo Arracacha, pochodzącej z Ameryki środkowej i południowej, a uprawianej szczególnie w okolicach Santa-Fé de Bogota. Roślina ta, zaaklimatyzowana we Francyi od lat przeszło 10ciu, znana jest w Europie od r. 1804. Ma korzenie kształtu rogów wolic, dobre do jedzenia, smakujące niby jak kasztany, niby jak kartofle. Można je jeść surowe lub upieczone w popiele gorącym, jak kartofle. Nowatorowie pragną je wprowadzić w miejsce tych ostatnich, dotykanych od wielu lat zarazą.

(Kiedy łąć — to dobrze). Od czasów naszego sławnego facecyonisty „Panie kochanku“ i jego drużyny albańskiej, której obowiązkiem było łąć na zawołanie za przykładem swojego mistrza, poszła u nas zupełnie w zaniechanie sztuka zmyślania (czego zresztą żałować nie potrzebujemy), i dziś pozostaje nam tylko podziwiać ten kunszt u innych narodów. Szczególniej w tym względzie sławy używają teraz Amerykanie północni, i jak który z nich zelże, to już pewnie dobrze. Oto znajdujemy w dziennikach nową próbę ich talentu.

Anglik siedząc przy kuflu z Amerykaninem, chciał go przekonać, że naród angielski ma większe zalety niż amerykański, i twierdzenie to poparł opowiadaniem, że angielscy handlarze drobiu są tak wielkimi mistrzami w dresurze, iż każdą razą, gdy wóz z drobiem stanie przed ich drzwiami, wszystkie kapłony i kury stają natychmiast szeregiem, a potem na komendę kładą się na grzbietach i składają na krzyż nogi, ażeby dać się powiązać i zanieść na targowicę.

Amerykanin słuchał opowiadania tego z największą spokojnością, nie uśmiechnąwszy się nawet; a gdy już skończył Anglik, pokrzepił się flegmatycznie grogiem i rzekł:

„Wszystko to głupstwo, bracie! Ale my mamy lekarza, który w Kansas kazał piękną wieś zbudować. Otóż wieś ta jest tak zdrowa, że ludzie w niej nie mogą wcale umierać; a gdy się wreszcie któremu żyć uprzykrzy, musi udawać się do pobliskiego miasta, ażeby wyzionąć tam ducha. Żyje też w tej wsi dwoje ludzi tak starych, że sami nie wiedzą już, kim są, i niema nikogo w kraju, kto by im mógł to powiedzieć.“

Otóż to kunszt łągarski co się zowie.

## ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ Z ROKU 1868.

- Biblioteka Ossolińskich. X. Lwów 1868.  
Nowicki M. dr. Zoologia dla szkół gimnazjalnych i realnych. Zesz. I. Kraków 1868.  
Chęciński J. Cicha woda brzegi rwie. Przysł. dram. Poznań 1868.  
Górecki W. Zasady Towarzystw pożyczkowych. Lipsk 1868.  
Jerzykowski. Żywot Kornela Neposa. Poznań 1868.  
Bolesławita. Tułacze. II. Poznań 1868.  
Gaurand. Maryanna Aubry. Powieść. Poznań 1868.  
Schultze-Delitsch. Prawa i obowiązki społeczne. Warszawa 1868.  
Montalembert K. Jenerał Władysław Zamojski. Poznań 1868.  
Cegielski H. O pisowni Rzepeckiego. Poznań 1868.  
Ustawy krajowe. III. Lwów 1868.  
Komarnicki J. O porządku czynności rad gminnych. Lwów 1868.  
Funke. Obecne i dawniejsze stanowisko rolnictwa. Poznań 1868.  
Statut Towarzystwa naukowo-literackiego we Lwowie. Lwów 1868.  
Kolumna Z. Pamiątka dla rodzin polskich. II. Kraków 1868. Dod.  
Błogie dnie dziecięcia w obrazkach. Warszawa 1868.  
Zwierzyniec dziecięcy w obrazkach. Warszawa 1868.  
Orzeszko Eliza. Ostatnia miłość. Powieść. Warszawa 1868.  
Grzechy i cnoty w 30 powiastkach. Warszawa 1868.  
Opowiadania matki małym dzieciom. Warszawa 1868.

# Księgarnia

## F. H. RICHTERA WE LWOWIE,

przy placu Marjackim, w hotelu Langa,

dostarcza na zamówienie wszelkich dzieł krajowej i zagranicznej literatury, także w kraju i za granicą wychodzących dzienników i pism perjodycznych, po najumiarkowańszych cenach.

Wszelkie zamówienia uskutecznia księgarnia w jak najkrótszym czasie,

**nie licząc żadnych kosztów.**

Dziela i pisma, zamawiane z miejsc poniżej wymienionych, a mianowicie:

Bohorodczany, Borysław, Brzeżany, Buczacz, Bursztyn, Czerniowce, Czortków, Dembica, Dobromil, Drohobycz, Dubiecko, Gorlice, Gródek, Jarosław, Jasło, Jaworów, Kołomyja, Krosno, Łańcut, Manasterzyska, Mościska, Nadwórna, Podhajce, Przemyśl, Przemyslany, Przeworsk, Radomyśl, Radymno, Rawa, Rohatyn, Ropczyce, Sambor, Sędziszow, Seret, Śniatyn, Stare Sioło, Stebnik, Stryj, Stanisławów, Tarnopol, Tłumacz, Trembowla, Tyśmienica, Zaleszczyki, Zbaraż, Żółkiew, Złoczów, Żurawno, Żydaczow

**dostarczane będą bez wszelkich kosztów przez ustanowionych tamże zastępców tej księgarni.**

Do wszystkich innych, niewymienionych tu miejsc odsyła księgarnia wszelkie zamówienia, których wartość dochodzi kwoty 6 złr. w. a. — **wprost, franco.**



## W tejże księgarni jest do nabycia biblioteka pisarzy polskich.

Cena jednego tomu 1 Talar, z oprawą 1 Talar 10 sr. gr.

1. **Garczyński Stefan.** Poezye.
- 2—5. **Słowacki Jul.** Pisma. 4 tomy.
6. **Gordon J.** Obrazki Caryzmu. Pamiętniki.
7. **Borkowski K.** Pamiętnik historyczny o wyprawie partyzanckiej do Polski w roku 1838. Wydanie drugie, powiększone.
- 8—12. **Mickiewicz Adam.** Pisma. Nowe wydanie zupełne. 5 tomów.
- 13—20. **Czajkowski Michał.** Pisma. Tom I—VIII.  
Tom I. Wernyhora. Tom II. Kirdżali. Tom III. Powieści kozackie i Gawędy. Tom IV. Owruczanin. Tom V. Stefan Czarniecki. Tom VI. Hetman Ukrainy. Tom VII. Koszowata i Ukrainki. Tom VIII. Anna.
21. **Norwid Cyprian.** Poezye. Pierwsze wydanie zbiorowe.
22. **Siemiński Lucyan.** Poezye. Pierwsze wydanie zbiorowe.
- 23—25. **Krański.** Poezye. 3 tomy.
26. **Gosławski Maurycy.** Poezye.
27. **Zienkiewicz Leon.** Wieczory Lacha z Lachów.
- 28—31. **Zienkiewicz Leon.** Wizerunki polityczne dziejów państwa Polskiego.  
Tom I. Rzecz o rozumie stanu w Polsce przez J. Alcyatę. Tom II. Polska w kraju i za granicą od 1831 do 1848r. Tom III. Rewolucyoniści i stronnictwa wsteczne, przez E. Chojeckiego. Tom IV. Polska w kraju w 1848 roku.
32. **Czajkowski Michał.** Pisma. Tom IX. Dziwne życia Polaków i Polek.
33. **Gordon J.** Soldat czyli sześć lat w Orenburgu i Uralsku, nowe pamiętniki.
34. **Gordon J.** Kaukaz czyli ostatnie dni Szamyla. Powieść historyczna.
35. **Heltmann Wiktor.** Demokracja polska na emigracji
36. **Zmorski Roman.** Poezye.
37. **Hoffmanowa K. z Tańskich.** Jan Kochanowski w Czarnolesiu.
38. 39. **Witwicki Stefan.** Wieczory pielgrzyma. Rozmaitości moralne, literackie i polityczne. 2 tomy.
40. 41. **Giller Agaton.** Podróż więźnia etapami do Syberii w roku 1854. 2 tomy.
42. 43. **Ujejski Kornel.** Poezye. Nowe wydanie z wyboru autora. 3 tomy.
44. **Jasieńczyk.** Dziesięć lat niewoli moskiewskiej.
- 45—47. **Giller Agaton.** Opisanie krainy zabajkalskiej w Syberii. 2 tomy.
48. **Gordon J.** Podróż do Nowego Orleanu.
49. **Zacharjasiewicz Jan.** Na Kresach. Powieść z naszych czasów w trzech częściach.
50. 51. **Zienkiewicz Leon.** Wizerunki polityczne literatury polskiej. 2 tomy.
52. **Gaszyński,** Poezye.
53. **Soplica.** Pamiętniki.

Nakładem tej księgarni wyszły następujące dzieła:

Katechizm homeopatyczny, nauuczający homeopaty gruntownie w trzech godzinach przez weterana homeopatę .....	— Zlr. 40 cent.
Olewiński Lubin, Nauka stenografii polskiej (przyzwolona przez c. k. ministerstwo stanu za podstawę dla komisji egzaminacyjnej kandydatów na nauczycieli stenografii polskiej) .....	1 „ 20 „

W komisji tejże księgarni wyszły:

Biblioteczka kolei żelaznych:

Anczyk Wł. L. Meszty Abu azema, komedycja w dwóch aktach napisana wierszem do grania dla dzieci (Warszawa) .....	— Zlr. 20 cent.
Igła i pióro, powiastka z urzędniczego świata (Warszawa) .....	— „ 30 „
Giedroje. Kilka wspomnień z kaukaskiego wygnania 1867 roku .....	2 „ — „
Lubowski Edward. Co się stało w małym miasteczku. (Warszawa) .....	— „ 25 „

Rycina przedstawiająca:

**Zgon M. Romanowskiego,**

z której czysty dochód przeznaczony na fundację s. p.

**Karola Szajnochy.**

Cena egz. cent. 40 w. a.

Jasiński Dr. Homeopatya, jej zasada i teoria działania jej leków .....	— Zlr. 50 cent.
Kartsch Maxymilian Dr. Poradnik lekarski w chorobach wenerycznych .....	1 „ — „
Scherr Jan. Kobiety, studjum dziejowe I. Aspazyja .....	— „ 30 „
Erekmann - Chatrian. Tajemniczy obraz. Powiastka .....	— „ 20 „
Słowacki J. Ojciec zadżumionych w El-Arisch. Wizerunki wslawionych żydów XIX. wieku. I. Goldschmidt, Sir Moses Montefiore. (Warszawa) .....	— „ 60 „
Rolnik, czasopismo rolniczo-przemysłowo-handlowe. Organ urzędowy c. k. Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego rocznie w obrębie państwa austriackiego .....	5 „ — „
	półrocznie. 2 „ 50 „
w Księstwie Poznańskim i Prusiech Tal. ..	4 „ — „
	półrocznie „ .. 2 „ — „
Wiedza. Zeszyt Iszy .....	— „ 25 „

Księgarnia **F. H. RICHTERA** we Lwowie objęła Agencję Dziennika Poznańskiego. I z opasza do prenumeraty. Przedpłata Kwartalna wynosi 6 zlr. — Również prsyjmuje dlu tegvi Dziennika Inseraty, za opłata. 9 cent. aust. ad wierdza.

2)

Nosa!

Wzbrojeny i p. Miodeta So-  
 zništwa z wyjątkiem tej  
 jeden składe z niżej  
 cyklu, tysiąców mego  
 Oca i p. Karola Metosure  
Kiego, urodzony ja nie-  
 konny składe Matyidim  
 Przystaj niżej  
 bled.

Matyidim

---

1852  
I have the honor to acknowledge the receipt of your letter of the 10th inst. in relation to the above named matter. I have the pleasure to inform you that the same has been forwarded to the proper authorities for their consideration. I am, Sir, very respectfully,  
Your obedient servant,  
J. M. [Name]



33



1204/55.

Part 1 of 2



# WALLO!

## MÓWI STARY ZNAJOMY

JAN ŚWIĄĆ

PIANIE REDAKTORZE,

długo bitem się z myślami, co zrobić, żeby uchwycić kogoś ze „znajomych“ — i wreszcie wyszedłem z tej walki zwycięsko. Otóż przypomniałem sobie, że przecież ja sam pochodzę z województwa katowickiego. Tak więc nie od rzeczy będzie pogadać z samym sobą. (Czy Pan, Redaktorze, rozmawiał kiedyś ze swoim „ja“? — Niech Pan spróbuje, to bardzo przyjemne zajęcie).

A więc pozwolę sobie przedstawić się: JAN ŚWIĄĆ, urodzony w 1929 r. gdzieś na terenie Częstochowy. Imieniny 24 czerwca. (Pan będzie pamiętał, Redaktorze...)

Ponieważ wywiady muszą być telefoniczne, nie tracąc ani chwili dzwonię do siebie... 21-43-20... Pech — zajęty! U mnie tak zawsze. Trudno, zaczekam. Uparcie przemierzam ciasny pokój. Nagle — co to? Lustro... Spojrzałem w smutne odbicie rzeczywistości i proszę: — wypisz, wymaluj — „Ja“.

Patrzyłem sobie prosto w oczy. Zrobiłem krok naprzód. Z radością zauważyłem, że zbliżyliśmy się znacznie, skutkiem czego rozmowa stała się mniej sztywna.

— Mój drogi, czy zechcesz przypomnieć sobie ten śląski okres?

— Owszem, zechcę. Zresztą pamiętam doskonale. Częstochowa, Gimnazjum im. R. Traugotta, Liceum im. H. Sienkiewicza, jednym słowem wszystkie bez-i-grzeszne lata do 1948 r.

— A potem?

— Studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, gdzie w 1953 r. zrobiłem dyplom. I tak zostałem architektem. Trudno — „Ja“ Świącie garnki lepiej!

— Co zbudowałeś?

— Szczęście rodzinne i kilkanaście domów w Nowych Tychach. Pracowałem w ZOR, w pracowni prof. K. Wejcherta i H. Adamczewskiej. Byłem wtedy częstym gościem na Śląsku w ramach nadzoru autorskiego.

— Co dalej?

— W 1955 r. byłem współprojektantem dwóch osiedli dla Korei, za co cały nasz zespół otrzymał nagrodę 10-lecia Architektury. Po zakończeniu tych prac zorganizowaliśmy sobie wspaniałą wycieczkę autokarem. Siedem tygodni w krajach zachodniej Europy. Zwiedziłem wtedy CSR, Austrię, Włochy, Monaco, Francję i Szwajcarię. Wrażeń — tysiące.

— To wszystko?

— Nie, nie wszystko. Równoległe z architekturą zajmowałem się satyrą. Mój drugi zawód, to konferansjerka i estrada.

— Dziwne!

— Wcale nie. Przecież po wojnie właśnie architekci tworzyli same śmieszne rzeczy.

— No więc?

— No więc w 1956 r. razem z Heniem Kotarskim i Szyszkiem Kanclerem stworzyliśmy Pracownię Satyryczną Architektów „Pineska“. To taki kabaret literacki. Robiliśmy i robimy w „Pinesce“ wszystko sami, od tekstów aż do publicznych występów. Z trzecim programem „Przysłowione trudności“ bawiliśmy cały miesiąc publiczność Śląska.

— Co masz z tego?

— Życie, wyżycie i przeżycie oraz nagrodę ministra kultury i sztuki.

— To wystarczy?

— Przeciwnie, nie starcza — więc współpracuję i piszę dla Radia, Teatru Buffo, dla aktorów i dla prasy.

— A propos, jaki był pierwszy wywiad?

— Wspaniały, z premierem Cyrankiewiczem na Ogólnopolskiej Radzie Budownictwa. Obecnie zaś rozmawiam ze „starymi znajomymi“ dla „Panoramy“.

— Co jeszcze?

— Jeszcze?... Litości! Świąć też człowiek — szanujmy człowieka.

— Marzenie?

— Mieszkanie, mieszkanie, mieszkanie (Zmieńmy temat).

— Kiedy urlop?

— Przepraszam, co to jest urlop?...  
— Co z architekturą?  
— Dziękuję, rozwija się.  
— A ty?  
— Ja też.  
— W zawodzie?  
— Kto dzisiaj pracuje w swoim zawodzie. Owszem jest jeden taki, mój przyjaciel, dobrze sobie żyje, ale on jest bez zawodu.  
— Najbliższe plany?  
— Jedziemy z „Pineską“ z najnowszym programem „Objedźdźmy kraj“.  
— Proszę o jakiś utwór?  
— O czym?  
— O sobie samym.  
— Bardzo proszę:

### N a g r o b e k

„Przechodniu — wieniec zostaw na trawie, zaraz wrócę — jestem na kawie“

(Od redakcji: Napisał Świąć — nie wolno kłaść!...)

## KRZYŻÓWKA

panoramiczna

## LOTNICZA

Rozwiązania prosimy nadsyłać w terminie 7-dniowym od daty ukazania się numeru na adres redakcji „Panoramy“ Katowice, ul. Poniatowskiego 25 z dopiskiem „Krzyżówka“.

### ROZWIĄZANIE Z Nr 33



Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z numeru 33 nagrody otrzymują: Władysław Niwiński z Wrocławia — album: Haft i zdobienie stroju ludowego, wyd. „Sztuka“, Wiktor Huczyński z Lublina — Słownik wyrazów obcych, wyd. PIW oraz inne książki: B. Bieńkowski z Lublina, A. Wiśniewski z Wałbrzycha, J. Cwojdzinski z Gorzowa Wlkp., Z. Mierzejewska z Warszawy, J. Przybyłka z Brzezina Śl. i W. Ostapczuk ze Szczecina.

CLUES:

- RYSMAN WŁOCHÓW DOUGLAS DC-3
- PORTIELLA LOS GOMOR PLAMIE BRUDZE
- PLYWAK MORSKI TWORCA TU-104
- SZATAN DEUGI PŁASZCZ KOBIECY
- IMIE ZNANEGO FILMOWEGO
- KRAJ W AFRYCE
- KONIEC BUTA
- MINER
- PERWASY LOTNIK PIS. DRYG.
- RYGIEL U DRZWI
- TATARAK
- GAGATEK
- REZERWA ZNANY LOTNIK POLSKI
- NSCHODNI PALAC
- PIERWIASTEK CHEM
- SPÓR
- LOTNIK
- DANIE MIĘSNE
- MOŻE BYĆ TEŻ LOTNICZY
- PORT W IZRAELU
- DUZY POKÓJ MIASTO W TURCJI
- CHODORRA SKORY
- DUZKA GALEON W ZBRAMOR
- LIUZBA
- DOPEW WOKRI
- PIERWIASTEK CHEM
- STOLNIK ADAM
- ARIE A
- DALTON
- SANKI
- MARION
- ANIA PRAWA
- PTA PRZYGODA
- K DIAZUCINAM
- JAVA LEPIANKA
- PANNY N
- A AGAWA
- KALIKOT
- GRANADA
- CHY W WANNY
- AKABA TER
- LARA
- ARAB
- MUNK
- ASTI
- KANDAKI TURECKI
- RUZAJ OSMALA
- RODZAJ ZBOZENA
- ROSLINA PRZEM.
- BIALA BRON
- CHODORRA
- OPRAWCA DEUGA PRZEMOWA
- WZADKA MATYLO
- MIASTO NAD TYGRYSEM
- TRATE SUMISSA
- REST DO SOL
- DOKTOR
- JEST W RADIU
- NIE TAMTO
- PLECIONKA Z TRZCINY
- PLAN WIELKIE ... STAT DRZWI
- WZKIC NAUKOWY
- WIERZBA SKORUPIN
- MAZIECKI PIERSZA ANGIELSKI WYSLIMIECZKOBETA

# „SERDECZNE ROZMOWY“

## JAK

wiedomo, przed kilkunastu dniami bawił w Niemieckiej Republice Federalnej prezydent Stanów Zjednoczonych, Eisenhower. Jest to druga wizyta najwyższego rangą amerykańskiego męża stanu w Niemczech, gdyż — jak pamiętamy — pierwszym prezydentem USA, który tam przywędrował, był Harry Truman. Nie trudno dostrzec różnicę między tymi dwoma wizytami: Truman przyjechał tu jako zwycięzca, zaś Eisenhower, jako — mówiąc ogólnie — konsultant.

Urzędowy komunikat, wydany po zakończeniu wielogodzinnych rozmów Eisenhowera z Adenauerem, mówi m. in., że rozmowy te toczyły się w serdecznej atmosferze wzajemnego zaufania i szczerości. Być może, prezydent USA i społeczeństwo amerykańskie istotnie wierzą w ową szczerść. My jednak pozwolimy sobie poważnie w nią wątpić. Jakby nie było, mieliśmy aż nadto szerokie możliwości poznania przodków pana Adenauera — i to z jak najgorszej strony. Dziś więc zdajemy sobie doskonale sprawę z faktu, że kierownicy NRF, podobnie jak ich sławetni poprzednicy, mają wprawdzie w swym słowniku słowo szczerść, ale używają je wyłącznie na użytek zewnętrzny i przy każdym jego wymawianiu nie mogą się powstrzymać od mimowolnego uśmiechu.

Dlatego też jesteśmy ogromnie ciekawi, czy pan Konrad I wspomniał chociażby zdawkowo prezydentowi

USA o coraz bezczelniejszych hasłach odwetowych, wykrzykiwanych przez różnych generałów SS i Wehrmachtu. Tych samych, których prez. Eisenhower miał zaszczyt gonić od Normandii po Łabę. Lub czy powiedział mu, że w NRF znów pojawiły się brunatne, hitlerowskie koszule, noszone na razie przez członków Związku Narodowego Studentów, a w najbliższej przyszłości przez szersze grono obywateli NRF. Nie tylko zresztą strojem upodobniają się młodzi Niemcy do swych starszych kolegów spod znaku SA. Oto kiedy niejaki Bernhard Schoenig w Heidelbergu osmielił się zaatakować ich w studenckim piśmie „Forum Academicum“ — został przez brunatnych bojówkarzy dotkliwie pobity.

Interesuje nas również, czy pan kanclerz zapoznał prezydenta USA z treścią artykułu, zamieszczonego ostatnio w „Deutsche Soldaten Zeitung“, w którym to artykule roi się od gróźb pod adresem tych wszystkich, którzy w minionym 50-leciu osmielili się wyrządzić Niemcom krzywdę. A więc pod adresem Amerykanów także.

Jeśli przyjmiemy, że Adenauer powiedział prezydentowi o tych zanotowanych ostatnio, a bynajmniej nie wszystkich sprawach — to wątpimy bardzo w serdeczność atmosfery ich rozmowy. Jeśli zaś nie pisał słówkiem na ten temat [o czym jesteśmy święcie przekonani] — to, mówiąc krótko, do diabła z taką szczerścią... [SET]



NAPISAŁ: ZULEK LEWICKI  
FOTO: WITÓLD GOLIAN  
i Archiwum Muzeum Śląskiego

# KTO ICH ZNA?!

Niedzielne zwiedzanie Muzeum Śląskiego we Wrocławiu dobiegało końca. O godzinie 16 kustosz galerii przeszedł sale, stwierdził normalny stan rzeczy, potem zamknął wszystkie drzwi. Klucze jak zwykle złożył w portierni w specjalnej, zamkniętej skrzynce. W budynku pozostał tylko portier. Nazajutrz, jak zawsze w poniedziałki, muzeum było zamknięte.

We wtorek rano Maria Walusiak zaczęła swój dyżur w galerii od zwykłego przeglądu. W sali V stanęła zaskoczona. Na ekspozycyjnej ścianie wisiały ramy bez obrazów. Myśl, że mógł je zabrać konserwator, trochę ją uspokoiła. Stan sali następnej wywołał u niej nowe obawy. Ze ścian zwisiały pocięte druty, na których przedtem wisiały obrazy. Także w sali VII spostrzegła brak obrazów. Pod jedną ze ścian leżało w nieładzie kilka uszkodzonych ram, a okno było uchylone. Nie pamiętała, by kiedykolwiek je otwierano.

Tego dnia do Komendy MO we Wrocławiu wpłynął meldunek o kradzieży 13 obrazów z Galerii Malarzy Polskich.

Funkcjonariusz MO wysłany na miejsce przestępstwa, by zabezpieczyć ślady, nie był zbytnio dokładny. Prowadzący śledztwo oficer i ekspert techniczny mieli później utrudnioną pracę. Dokładne oględziny parapetu przed uchylonym oknem oraz zewnętrznej muru, od okna aż do poziomu ziemi, nie przyniosły istotnego materiału, który mógłby umożliwić określenie drogi sprawców kradzieży do wewnątrz muzeum i z powrotem. Kontrola zamków drzwi, dzielących galerię od głównego wejścia też nie wniosła nowych elementów. Ustalono jedynie, że transport obrazów musiał się odbywać otwartym oknem z drugiego piętra na ziemię i że czynność ta wykonana została przez 2-3 osoby, posługujące się liną. Ślady zebrane w salach, z których zginęły obrazy, stanowiły podstawę do wyliczenia jednego z kierunków śledztwa.

Niebawem, w pobliżu muzeum, obok fosy wypełnionej wodą Odry, znaleziono kilka porzuconych ram, z których wyjęto skradzione obrazy.

Na podstawie materiałów, zebranych w pierwszej fazie śledztwa wysunęto jedną z przyjęcia hipotezę, że sprawy dokonali kradzieży w nocy z niedzieli na poniedziałek. Jeden ze złodziei wszedł do galerii w niedzielę i pozostał tam do nocy. W poniedziałek bowiem muzeum było nieczynne i dostanie się do budynku wejściem głównym było niezwykle utrudnione. Możliwość zaś zabrania obrazów na drugie piętro po murze została wykluczona. Nie wskazywały na nią żadne ślady. Przeczekawszy kilka godzin złościna spuścił po linie skradzione obrazy, potem tą samą drogą opuścił miejsce przestępstwa, a linę odciął w wiadomy na razie tylko sposób.

Kontracja władz była natychmiastowa. Porty morskie, powietrzne i granice państwa, antykwaryaty, podane zostały nadzwyczajnej kontroli. Poproszono o współpracę „interpol” — Międzynarodową Organizację do Walki z Przestępczością. Pewnego dnia nieoczekiwanie otrzymano kwii, wydany przez przechowańca bagażu jednego z dworców oraz list, w którym złodzieje proponowali zwrot obrazów, żądając niezwykle wysokiej sumy pieniężnej. Bagaż okazał się walizką, zawierającą jeden z obrazów. Był to dowód, że autorzy listu są posiadaczami skradzionej kolekcji. Pragnęli oni ustalić w ten sposób jaką kwotę mogą wyłudzić.

Tymczasem życie muzeum powróciło do normalnego trybu. W jedno popołudnie dyrektor muzeum, mgr Gębczak zasiadł się dłużej w swoim biurze. Nagle zadzwonił telefon. Nieznany rozmówca przedstawił się jako reprezentant szajki, proponował zwrot obrazów za wysoki okup i nakazał czekać na dalsze wiadomości w tej sprawie. Dyrektor nie odrzucił jego propozycji. W parę dni później otrzymał list, zredagowany bardzo lapidarnie i utrzymany w poprawnej formie. Złodzieje żądali w nim jeszcze wyższej, niż poprzednio kwoty. List napisany był na maszynie „Bambino”, których 1.000 sztuk sprowadzono z NRD.

Pomimo zgody kierownictwa muzeum, na prowadzenie dalszych negocjacji, perfidni przestępcy nie odeszli się przez kilka tygodni. Poem nadszedł nowy list, bardziej agresywny; złodzieje domagali się trzykrotnie większego okupu, przekraczającego realną wartość skradzionych obrazów. Kontakt z szajką urwał się. Aż w ostatnich dniach grudnia znowu ktoś zadzwonił do dyrektora muzeum. W słuchawce brzmiał ten sam głos, co poprzednio. Był bardziej nerwowy, rozmówca nie precyzował niczego i nieoczekiwanie przerwał rozmowę...

Kraj nasz na skutek wojny stracił wiele skarbów narodowej kultury, zgromadzonych w muzeach. Kradzież obrazów z Galerii Malarzy Polskich w Muzeum Śląskim, będących cennymi dziełami sztuki, jest nie tylko zwykłym przestępstwem, jest przede wszystkim czynem, godzącym w nasz dorobek kulturalny.

Śledztwo trwa. Zacieśnia się krąg podejrzanych. Jednych wyklucza się z niego, wobec innych poszaki przeobrażają się w coś bardziej konkretnego. Któregoś dnia materiał dowodowy zostanie przedstawiony prokuratorowi. Wtedy...

Naczelnik Wydziału MO mruczy oczy i mówi: „Sprawy kradzieży musieli orientować się doskonale w wartości obrazów. Nie uczynili tego ludzie, nie mający pojęcia o malarstwie. Jednakże nie przewidzieli oni jednego: reakcji społeczeństwa, które udziela nam dużej pomocy. To ich na pewno zgubi...”

DOKOŃCZENIE  
NA STRONIE

10 - 11

panorama 9



Ruchy tancerzy wydają się Czytelnikom idealnie dobre. Tak to wygląda na zdjęciach. Ale prof. Kamińska zawsze dopatry się niedokładności i każe te pas powtarzać kilkakrotnie

## GOOD LUCK „ŚLĄSK”!

I ch ubożuchny dobytek mieścił się w małych tobołkach. Wstępowali na pokład dla pasażerów trzeciej, najtańszej klasy. Nikt ich w porcie nie żegnał. Kolej była droga, a na opłacenie przejazdu do Ameryki, długie miesiące ciulała cała rodzina. Madeje, Nowoki, Wróble opuścili kraj z ciężkim sercem. Nie żądza przygód — a bieda gnała ich za Ocean. Nowy Świat był dla nich ziemią obiecaną. Dziś w księżkach telefonicznych Chicago, Nowego Jorku, czy osiedli górniczych Gór Skalistych figurują zniekształcone nazwiska: Madey, Wróbel Novock. To ci sami, którzy przed kilkudziesięciu laty żegnali rodzinne miasta i wie...

ANDRZEJ SOROCZYŃSKI  
I BOGDAN KRASICKI

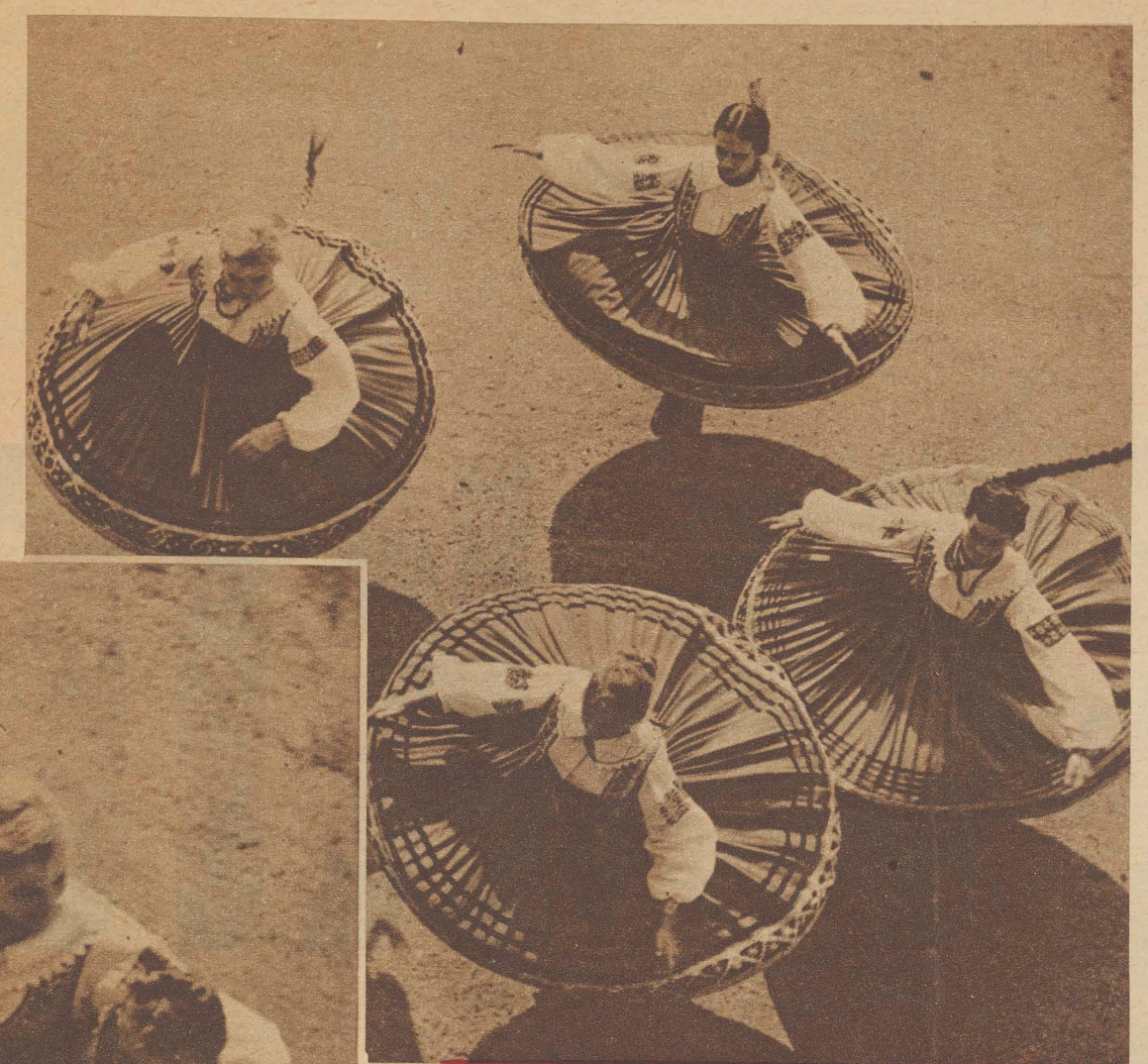
...le, czy przez zespół chiński piosenki „Sza dziewczeczka”. Oprócz „Negro spirituals” kosztownianie przygotowują kantatę Hadyny do słów amerykańskiego klasyka Walla Whitmana oraz parę pieśni z bogatego folkloru Nowego Świata. Ale przebojowymi numerami mają być oczywiście „Dziadek”, „Poszła Karolinka”, no i dynamiczne tańce, znane dobrze polskiej widowni.  
Wyjazd „Śląska” do Stanów Zjednoczonych nie jest czymś niespodziewanym. Po wielkich sukcesach w Europie zachodniej, jeden z najpóźniejszych impresariów amerykańskich — Hurok, podpisał kontrakt z naszym zespołem na 70 występów w USA i Kanadzie. Nie uczynił tego z sympatii do Karolinek i Zeflików, lecz dla czystego biznesu. Angażowanie tak licznego zespołu jest zawsze ryzykiem. Hurok postawił jednak na dobrego konia. Bilety zostały już rozprzedane, a przeczorny impresario zastrzegł sobie w kontrakcie możliwość przedłużenia występów. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że z tego przywileju skorzysta.  
A w Koszęcinie wre teraz praca. Od rana do wieczora. Ze względów technicznych nie cały zespół wyjedzie na dalekie tournée. Kierownictwo artystyczne zdecydowało, że pojedą tylko ci, którzy wykazali się najlepszymi rezultatami w opanowaniu materiału reper-

tuarowego. Śląd w parku można spotkać grupki i pojedyncze osoby, ćwiczące z zapalem nowy program, a jednocześnie nie rozstające się z samouczkami i słownikami języka angielskiego — [Patrz okładkę]. Wstyd przecież rozmawiać „na mię”. Tylko, że to piekielne „th” nie jest podobne ani do polskiego „ł”, ani do „dz” i wymaga sporego kręcenia językiem...  
1 listopada występ w Bostonie. To już za kilka tygodni. A przedtem jeszcze krótki wyjazd do Związku Radzieckiego. W małych odstępach czasu „Śląsk” da spektakle w miastach dwóch największych państw świata. To nie tylko zbieg okoliczności. Jest w tym jakaś prawidłowość, mówiąca o wysokiej międzynarodowej randze zespołu.  
Z końcem października na trap luksusowego samolotu w warszawskim porcie lotniczym wejdą obładowani walizkami dziewczęta i chłopcy ze „Śląska”. Pożegnają ich rodziny. Będzie wiele słów serdeczności i będą przypomnienia: „A nie zapomnij powiedzieć wujowi Słazkowi, że chętnie zobaczylibyśmy go w Polsce”. „Ciocie Zosie zaprosi do nas. Trzydzięci pięć lat w kraju nie była”. „Stryjenkę pozdrów i pokaz jej zdjęcia, żeby zobaczyła jak się pobudowaliśmy!” Potem rozlegnie się ryk silników, a wieczorem w dzienniku radiowym speaker poda informację o wyjeździe „Śląska” do Ameryki. Młodzi zawiozą Polonii pozdrowienia od starej Ojczyzny. Amerykanom zaś przybliżą nasz kraj, jego uśmiech i piękno.  
Powodzenia  
Good luck!

W koszęcińskim parku echo przywykłe do beskidzkich „helokań” i swojskiej „Karolinki”, z irudem oszaja się z obco brzmiącymi słowami. Okoliczni mieszkańcy, znający na pamięć repertuar „Śląska”, przystają, słysząc dziwne, smutne melodie, podobne do tych, które można „złapać” na krótkich falach. Tylko studenci, otrzaskani z jazzem, a spędzający w rodzin wakacje, od razu zgadli, co to za pieśni. Chór ćwiczy „Negro spirituals”. Jest to część specjalnego programu przygotowanego dla publiczności amerykańskiej. Nie, „Śląsk” nie ma zamiaru zrezygnować ze swoich stałych pozycji, zyskujących mu aplauz we wszystkich krajach. Chodzi tu po prostu o kurtuazyjny gest wobec zagranicznej widowni. Taki sam, jakim było wykonanie po polsku przez chór Aleksandrowsa pieśni o WI-



Krystyna Madeja w podwójnej roli: tancerki i mamusi. Latorośl rodu Madejów nazywa się Elwirka na cześć choreografki „Śląska” p. Kamińskiej i jest ulubienicą całego zespołu. Na czas wyjazdu rodziców pozostaje pod opieką rodziny. Ha, trudno, taki jest los dziecka artystów.



Takie chwile absolutnego wypoczynku zdarzają się w Koszęcinie niezwykle rzadko. Roboty mnóstwo. Nieczęsto można wykrócić pięć minut spokoju, by odetchnąć po próbach.



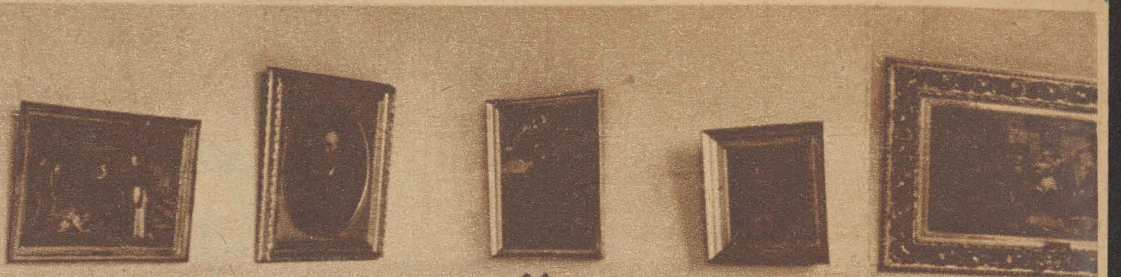
„Do zdjęć pozowaliśmy pani chętnie, ale nie bezinteresownie” — tak powiedzieli członkowie zespołu amerykańskiej fotoreporterce, po czym zaprzęgli ją natychmiast do pracy w charakterze nauczycielki poprawnej wymowy języka angielskiego.

DOKOŃCZENIE ZE STRONY 9

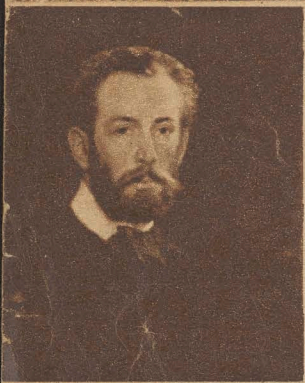
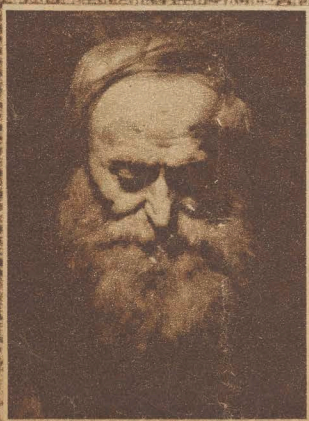
**SKRADZONE  
DZIELA SZTUKI**

*nieprzebrana. W muzeum pała*  
*zawsze na to zamykał drzwi*  
*zamykał*

Jan Matejko — (1) „Konrad Wallenrod” (olej, płótno 58×46,5), (2) „Sejm w Gąsawie” (olej, pap. 59×115), (3) „Głowa starca” (olej, tekt. 52×44,4), (4) „Portret pani Pleszowskiej” (ol. pl. 58,5×46,5), (5) „Wjazd Henryka Walezego do Krakowa” (ol. pl. 40×32), Henryk Rodakowski — (6) „Autoportret” (ol. pl. 57×50,5), Juliusz Kossak — (7) „Polowanie w Połuzycy” (akwarela 59,5×87,5), Franciszek Streitt — (8) „Portret Wandy Mone” (ol. pl. 48,5×38,5), Andrzej Grabowski — (9) „Portret Napoleonowej Sarneckiej” (ol. pl. 63×46,6), Aleksander Gieryski — (10) „Hamlet” (olej pl. 73×54), Leon Kapliński — (11) „Miecznik i Wacław” (olej pl. 100×81,5), Wilhelm Leopolski — (12) „Karol V w klasztorze św. Justyniana” (olej pl. 78,3×100,5), Stanisław Dębicki — (13) „Portret Jana Matejki” (olej, deska 36×30,2).



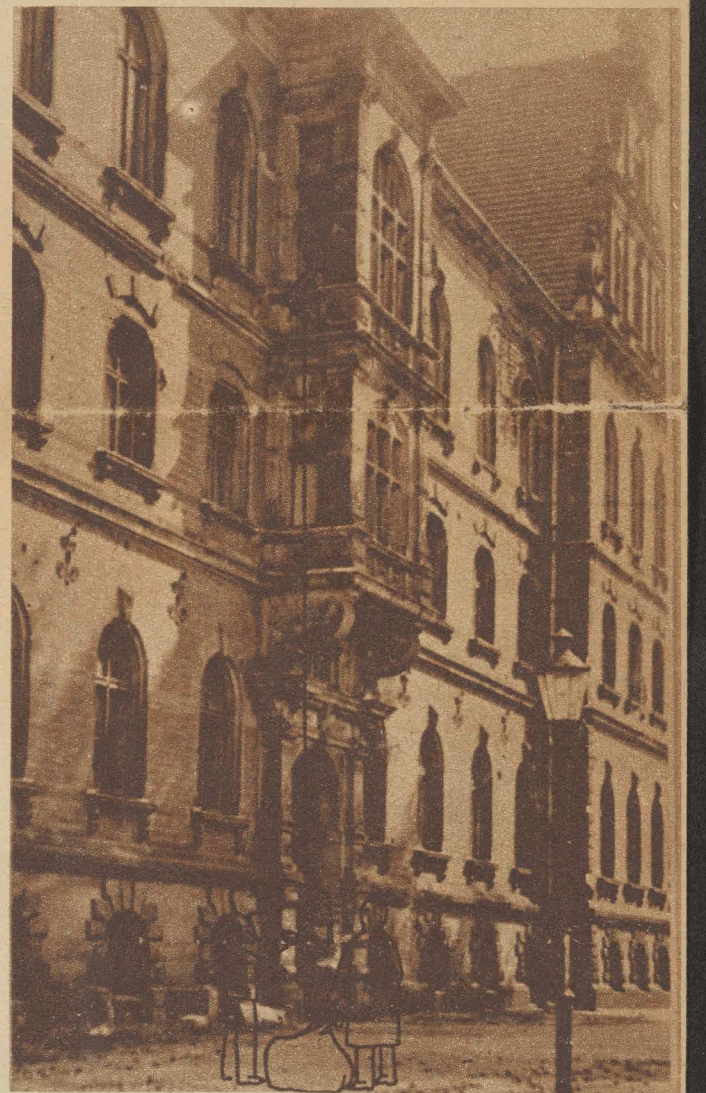
Expozycyjna ściana sali IV i VI przed dokonaniem kradzieży.



*portret*



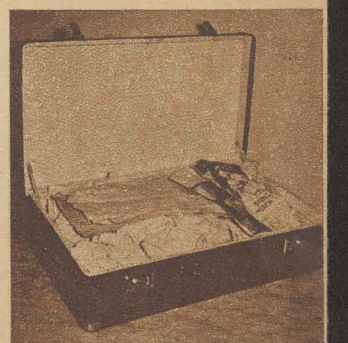
**KTO**



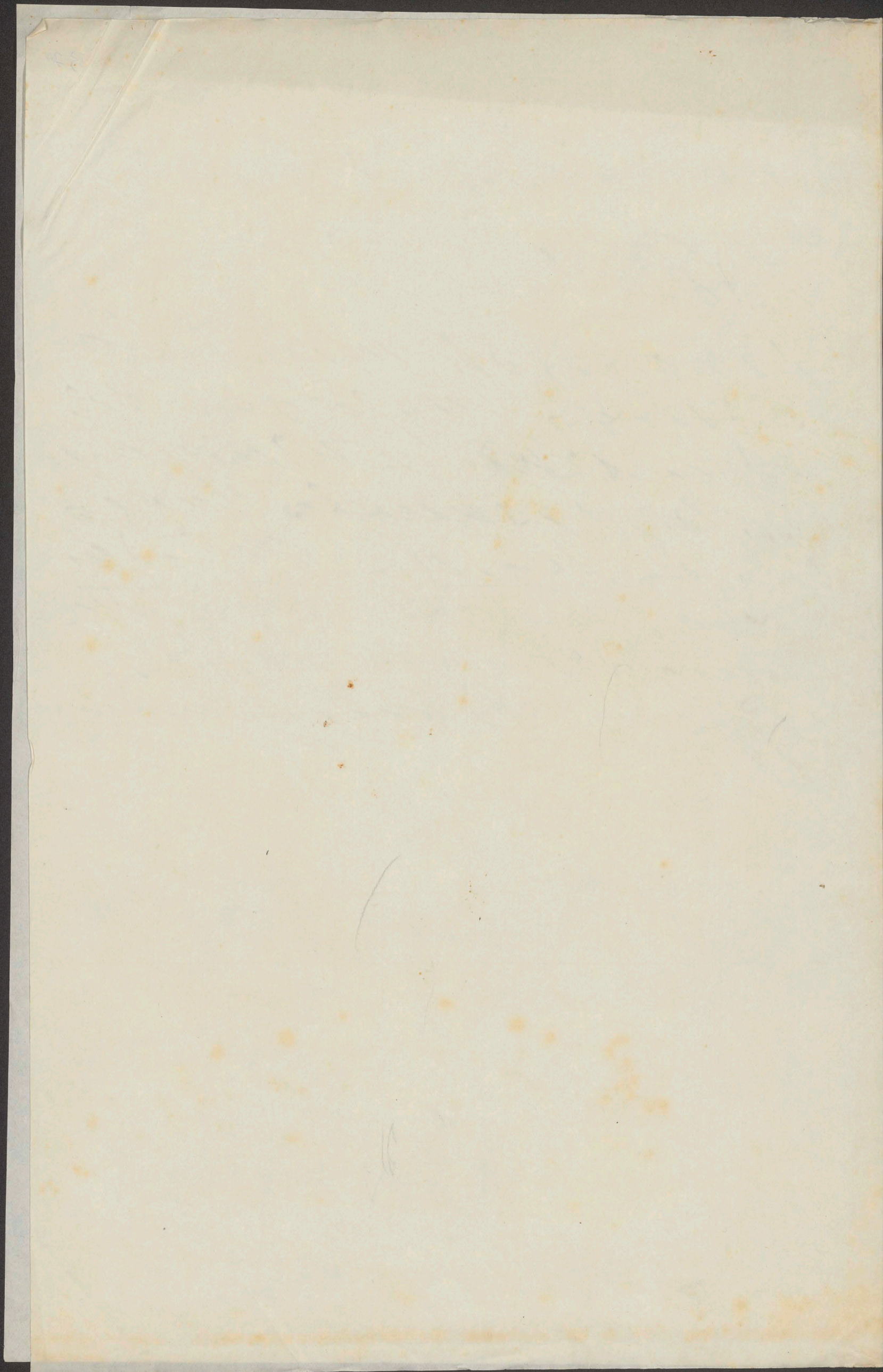
Tą drogą złodzieje wynieśli tutaj pozostawiając okno od sali galerii otwarte.

**TEN OBRAZ ZWRÓCILI**

Kustosze galerii mgr Gębczak z jednym ze zwróconych przez złodziei obrazów, który (w walizce widocznej obok) złożyli w przechowalni bagaży, jednego z dworców P. K. P.









Wanda z Monné'ów

# KAROLOWA MŁODNICKA

urodzona w r. 1850, zmarła zaopatrzona św. Sakramentami, dnia 2. lutego b. r.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się w niedzielę dnia 4. lutego 1923 r., o godzinie 12-tej w południe z domu żałoby przy ul. Kalcza 1. 20 a, — o czym zawiadamia w ciężkim smutku pogrążona

**Rodzina.**

**Msza święta żałobna** odbędzie się **w kościele paraf. św. Mikołaja** w poniedziałek dnia 5. lutego 1923 r. o godzinie 8:30 rano.

Lwów, dnia 3. lutego 1923.



Wanda i Marianna

KAROLINA MŁODNICKA

Wojciechowski Karol, ul. Kłosa 1, Warszawa

Wojciechowski

Wojciechowski Karol, ul. Kłosa 1, Warszawa

Wojciechowski Karol, ul. Kłosa 1, Warszawa

Wojciechowski Karol, ul. Kłosa 1, Warszawa

Wojciechowski Karol, ul. Kłosa 1, Warszawa

+ 2 lutego 1923

## Narzęczona Grottgera.

(Z powodu zgonu śp. Wandy Młodnickiej)

Śmierć nie zawsze wykreśla z listy żywych. Czasem także i przypomina, że pomiędzy nami żył ktoś zapomniany i będący jakby anachronizmem, zabytkiem dawno minionego, piękniejszego czasu.

Tak właśnie nie przystawała do dzisiejszej chwili w polskim życiu, do naszej odzyskanej i zaraz zabrudzonej, zaraz przyćmionej przez małość ludzką wolności Wanda Młodnicka, Polka z epoki, w której się o wolność modlono i dlatego może umiało żyć jasno i bez plam. Nie mam pod ręką bliższych danych, nie rozporządzam materiałem biograficznym, któryby mógł czytelnika poprowadzić przez długie, z kwiatów i cierni złożone życie tej kobiety, odwołanej dziś z cichego domu lwowskiego, nazywającego się pięknie i słusznie „Zaświęciem“.

Jej wspaniała, jak u posagu, twarz z parą błękitnych, jak źródła czystych oczu, z tasmami ciemnych, nastrożonych brwi, pochylała się często nad moim biurkiem redakcyjnym w „Słowie Polskie“. Siwiżna pod czarnym kapeluszem, siatka zmarszczek i nieodstępna laska mówiły, że długą drogę odbyła ta piękność, nim się zjawiała przedemną. „Narzęczona Grottgera“: tak się nazywało zwykle tę damę, w trudzie pnącą się po redakcyjnych schodach. Brzmiało to w naszych, dalekich od Grottgera czasach, trochę jak żart.

A jednak nie było żartem. 13. stycznia 1866 roku poznał wielki malarz na balu w „Strzelnicy“ lwowskiej cudnie piękną pannę Monne, żeby z nią rozpocząć niebawem „kwitnącą, wonną wiosnę narzeczeństwa“, jak mówi jego monograf. Szkoda, że wiosnę za późną, za bliską tego listopada 1867 roku, który był końcem życia Grottgera. Niemniej odegrała niezwykła kobieta rolę tak potężną w życiu narzęczonego, jak bodaj żadną z tych, których imiona zrosły się z nazwiskami naszych wielkich ludzi. Może jedna Wereszczakówna weszła w życie Mickiewicza równie mocno, choć inaczej. Bo nie bółem Grottgera, ale jego jasnością i szczęściem, ale muzą, rozwidniającą mu kartony i prowadząca w górę jego natchnienia,

była ta styczniowa piękność, ja na pogórzeli narodowej, pokochana Beatrycze. Jej twarz, jakby dłutowana i melancholijne oczy przewleają się odtąd jako stały motyw przez twórczość artysty. A korespondencja, z nią wymieniana, lepiej od utraconych komentarzy pozwala zrozumieć istotę tej twórczości. „Portret narzęczonej“ wielki malarza-romantyka uczynił urodę przyszłej pani Młodnickiej popularną w całym kraju. I czar, zakrzepły w portrecie jakby przetrwał w niej samej. Coś z żalostnej doby krynolin było w niej do końca. I coś z wdzięku smutnego, pod krepu chodzącego, tamtych, styczniowych kobiet. Miałem wrażenie, że razem z nią odwiedza mnie zawsze ten dziejowy moment, że w jej sukni jest przechowana jakby bolesna perfuma wspomnień.

I ten wzniosły ład, ten ideał naszych krzyżowców z sześćdziesiątego trzeciego roku, ten promienny spadek po swojej pierwszej miłości wcieliła późniejsza żona także malarza, Karola Młodnickiego, w życie własne i rodzinne, czyniąc swój dom jakby obwarowanym przeciw popolitości, przeciw poziomym sprawom, przeciw nurtowi małych, codziennych interesów. Nie dziwnego, że w takiej atmosferze musiała wyrósć jedna z najsubtelniejszych, pracownic w pojęciu polskiej, w dużej części, twórczyń, matka, a jej największa miłość i duma: Maryla Wolska. Jakaś składka dawnych czasów, dobra rasa popartych i nowoczesnej uprawy mózgu dała jako efekt szlachetną, polską w każdym słowie, zdrową jak chleb wiejski, a słodką, jak kłosy żytnie, pociągającą córki, obok której musi się wymienić matka, jak obok płodu, hodowanego w trosce, glebę. Dom Wacława i Marji Wolskich był, żeby rzec po mickiewiczowsku, „centrum polszczyzny“ we Lwowie. Ciągnęli ludzie do niego żeby się tam naprawdę napić, nadsześć ojczyzny. A pierwsze miejsce za rodzinnym stołem zajmowała zmarła. Wykształcona, namiętna miłośnica literatury, wielbicielka, ale i surowa oskarżycielka, kiedy trzeba było; poetów, pośredniczyli przy tym stole między dawnymi a nowymi laty, kochana każdy młody lot skrzydeł, pod jednym wszakże, nieustępliwym warunkiem: żeby to był lot do ojczyzny, żeby szumiał sila plemienna. Nie zapomne jej wizyt w redakcji

czasem za jedyny cel mających wyrażenie mi uznania wiersz, który jej przypadł do smaku.

Sama pisała też: Od święta i na codzień. Odświętną jej pracą były książki, poświęcone dzieciom, rosące razem z jej wnukami. Przeróbki andersenowskich „Bajek“, twórcze do polsk. potrzeb sprowadzone przeróbki, którym asystował dzielnie ołówki ilustrujący Władysław Witwickiego, spopularyzowały zmarłą szeroko; zarabując jej na trwałą miłość u polskich dzieci. Ugruntowała ten stosunek piękna, każdym włókniem polska powieść „Na Muraniu“.

Ale nie o dzieciach tylko myślała ta pracowita, do ostatniej chwili pożyteczna osoba. Wanda Młodnicka zapałała się najpierw dobrze sama w beletrystyce, poczem zaczęła tłumaczyć z obcych języków. Jako kierownik literacki „Słowa Polskiego“ miała w niej stałą dostarczycielkę przekładów, dobrą dokonywanych polszczyzną, a podpisywanych skromnymi literkami W. M. „Znowu mam coś dla pana“ — mówiła z słicznym uśmiechem „narzęczona Grottgera“, wyciągając tajemniczo z torebki biały zwitek papieru. I dawałem te rzeczy do druku bez kontroli nad autorem i utworem, wiedząc, że co Młodnicka tłumaczy, to musi mieć w sobie i artystyczną wartość i przedewszystkiem moralne zdrowie. To były jej supremae leges przy wyborze pisarzy i dzieł, coraz rzadziej uznawane przez naszych tłumaczy.

W rodzinie Wolskich uderzył przed kilku laty grom, stowarzyszony z datą odzyskanej wolności. Jednym z najpiękniejszych, najwięcej bohaterów tej wolności męczenników stał się rozstrzelany podle przez Ukraińców w Złoczowie Ludwik Wolski, osiemnastoletni Polak z duszą Rzymianina, poeta, gotujący się do szparkiego lotu. Wśród kolegów, mordowanych strzałami dzicy, on jeden ginał, nie odwrócony plecami, ale uśmiechniętą pogardliwie twarzą zwracając się do nikczemnych kul. Tak ginał mógł tylko syn Maryli Wolskiej, a wnuk „narzęczonej Grottgera“. Matkę rozdarł strzał, wymierzony w dziecko. Jej pracownia poetyczna ucichła. Babka bohatera przygięła się pod nieszczęściem, ale nie załamała. Jej laska odzywała się potem jeszcze często na redakcyjnych schodach, jej żalobne szaty, tem żywiej przy-

WIG

han R...  
pion...  
edycja...  
Maj...  
Maj...  
Maj...

jest rzeczą bardzo ważną. Na takiej większości — wszyscy to już dziś dobrze widzą — naprawy finansów państwa oprzeć nie można. Lewica nie posiada ani wspólnego programu politycznego, ani ekonomicznego. Jasną jest rzeczą, że współdziałanie socjalistów z przedstawicielami włościanstwa jest niemożliwe, gdy przyjdą na porządek dzienny projekty podatkowe, niewątpliwie zaraz się to pokaże z całą oczywistością. Lecz nawet włościański „Piast” z włościańskim „Wyzwoleniem” są od siebie bardzo daleko.

Jedność obecnego obozu rządowego jest następstwem tego, że po za obozem tym stoi konspiracja, która utrzymuje w gromadzie tak różne żywioły. Konspiracja ta nie jest dziś pewna prawego skrzydła lewicy, bo wpływy jej tam są słabe, robi ona też rozpaczliwe wysiłki, by Witosowców i N. P. R. we współdziałaniu z lewicą utrzymać. Chodzi jej przede wszystkim o to, by władzę w swem ręku utrzymać. Na rządzie gen. Sikorskiego postawiła ostatnią swą stawkę, gdyby ta kombinacja się rozchwiała, to pozycja jej byłaby bardzo trudna. Dlatego to będziemy świadkami kurczowego trzymania się władzy przez gen. Sikorskiego i rozpaczliwych wysiłków ze strony lewicy, by nadal władzę, trzymaną od lat czterech, w swem ręku zachować.

Taki stan rzeczy wkłada na obóz narodowy obowiązek wytrwania na drodze konsekwentnej opozycji jako jedynej prowadzącej do utworzenia rządu parlamentarnego obdarzonego zaufaniem społeczeństwa polskiego. Tylko taki rząd może przeprowadzić uzdrowienie finansów państwowych.

p. Saury przedstawionym w wykonaniu zalecenia z dn. 17 maja 1922 roku oraz uwzględniwszy ustne i pisemne przedstawienia rządu polskiego i litewskiego w sprawie ustalenia linii demarkacyjnej w strefie neutralnej, uznając potrzebę położenia kresu w jak najkrótszym czasie stanowi nieporządku i niepewności panując. obecnie w tych strefach ustanowionych pierwotnie z inicjatywy wojskowej komisji kontrolnej uchwała, iż z dniem 15 lutego 1923 r. oba rządy zainteresowane będą upoważnione do wprowadzenia własnej administracji w częściach im przyznanych a określonych jak następuje: (A) Rząd polski będzie mógł wprowadzić swoją administrację: 1) w rejonie przez który przebiega kolej z Grodna do Wilna z wszystkimi miejscowościami pasa neutralnego aż do miejscowości koło linii Panszyszki — Ozuleja — Skobsko na północ włącznie. 2) Dalej na północ wszystkie miejscowości oznaczone w raporcie Saury jako mające być oddane prowizorycznej administracji polskiej. (B) Rząd litewski będzie mógł wprowa-

#### Pożyczka we Francji.

Paryż, 8. 2. (Tel. wł.) Komisja skarbowa Izby deputowanych obradowała nad projektem rządowym udzielenia Polsce kredytu w sumie 400 milionów franków. Komisja projekt przyjęła. Pożyczka wypłaconą zostanie w złocie z francuskich zapasów kasowych i ulokowaną na 5%. Polska zaciąga nowy dług celem pokrycia wydatków na cele gospodarcze, na szkolnictwo, a przede wszystkim na państwową obronę narodową. Sprawę kredytu omawiano z Francją jeszcze w czasie rokowań w r. 1921 i pożyczka ta została w nich przewidziana.

#### Sprawy wojskowe.

Warszawa, 7. 2. (Pat.) Komisja wojskowa rozpatrywała szereg interpelacji poselskich m. in. interpelację p. Liebermanna w sprawie używania wojska do egzekucji osób skazanych przez sądy cywilne; p. Nawrockiego w sprawie zaliczenia ochotniczego czasu służby; p. Zamorskiego w sprawie przydziału przez poborowych własnej żywności; p. Bardla o terminie przygotowania rezerw; Józefa Hallera w sprawie powszechnego obowiązku służby wojskowej i organizacji naczelnych władz wojskowych; p.

2) w rejonie położonym na północ od linii Suwałki i Ornian z wszystkimi miejscowościami pasa neutralnego ustanowionego 27. grudnia 1920 r. C) W rejonie Suwałki administracja polska i litewska zatrzyma miejscowości, które obejmowała administracja tych państw. Linja demarkacyjna w ten sposób określona zachowa charakter prowizoryczny przewidziany w zaleceniu Rady z dn. 13. stycznia i 17. maja 1922 r. przyczem prawa terytorjalne obu państw pozostają w zupełności zastrzeżone. Rada przypomina obu rząd-om ich solenną obietnicę powstrzymywania się od wszelkich kroków wrogich i wzywa do podjęcia wszelkich środków, które one rozporządzają dla rozbrojenia i rozwiązania formacji nieregularnych, które znalazłyby się w miejscowościach w których upoważnione one są do wprowadzenia swojej administracji i zaznaczają, że obecna rekomendacja jest ostatni-  
m zaleceniem rady w sprawie pokojowego jej rozwiązania.

Mianowskiego w sprawie przedstawienia przez min. spr. wojsk. stanu przemysłu wojennego i planów M. S. W. na przyszłość; p. Anusza w sprawie przedłożenia min. spr. wojsk. projektu ustaw wojskowych. Wyjaśnień udzielił przedstawiciel Min. spraw wojsk. pułk. Petrzycki. Na następnem posiedzeniu komisji min. spraw wojskowych ma wygłosić expose.

#### Wystawa pamiątek po Chopinie.

Paryż, 8. 2. (Tel. wł.) Towarzystwo Chopina pod przewodnictwem p. Edwarda de Cosé urządza na 1 maja b. r. wystawę pamiątek po Chopinie. Do Padarewskiego wysłano telegram z prośbą o objęcie honorowego przewodnictwa.

#### Krassin w Berlinie.

Berlin, 8. 2. (Tel. wł.) Wczoraj wstąpił Krassin w drodze powrotnej do Rosji, do Berlina. Tu spotkał się z Cziczerinem, z którym wrócić do Moskwy. W Berlinie rozmawiali z przewodniczącą sowieckiej misji handlowej Stomaniakowem. Spotkania te mają na celu zawarcie handlowego układu sowiecko-niemieckiego.

Włodzisław Bauer  
Berlin



## † Wanda Młodnicka.

Dnia 2 bm. zgasła w naszym mieście jedna z najniepospolitszych kobiet Lwowa, której postać związana jest nieśmiertelnie z dziejami kultury narodowej i sztuki.

Urodzona we Lwowie w r. 1850, jako córka wybitnego inżyniera Karola Monne i Kordelji z bar. Wenzów de Nielerlahnstein, miała we krwi francuskiej i frankońskiej, małą tylko przymieszkę krwi polskiej, po babce. Dom jednakże, w którym rosła, był już nawskróś i gorąco patriotyczny.

Jako trzynastoletnia dziewczynka, wrażliwa i bystra, bierze już czynny udział w atmosferze styczniowego powstania. Pierwszorządny w swoim czasie lwowski Zakład wychowawczy jej ciotki, Teresy bar. Wentz, w którym się kształciła, był jednym z zaufanych przytułisk powstańczej akcji. Tu, przy placu Św. Ducha, na III. piętrze, w kamienicy pod nr. 10, zbierano się nocami na skubanie szarpi, lanie kul, naprawienie wysyłkę żołnierskiej odzieży. Z posyłkami pośród których ukryte zrzęcznie, przemycaly się kartki niecenzuralnych listów, dostawała się odważna dziewczynka do politycznego więzienia w klasztorze Karmelitów.

W wysokiej temperaturze umiłowani i wzruszeń rosły dusze dziewczęce — a wspomnieć warto, że między uczenicami panny Wentz znajdowały się takie, jak: Helena Zabłocka, późniejsza Tomaszowa Rylska, Lucyna Urbańska, później zam. Wład. Hallerowa, Olga Treterówna, później Henrykowa Hallerowa, Matka Cezara i Józefa, bohaterka z pod Kaniowa — i długi zastęp innych zasłużonych Polek.

W r. 1866, na balu w salach Strzelnicy lwowskiej, ujrzał Wandę Monne — Artur Grottger. Ośniony nietylko wspaniałą urodą, ale połotem umysłu i ducha poznanej, stowarzyszył się z nią nazawsze swój geniusz twórczy, oddał w hołdzie dożywotnim serce i duszę. Została jego narzeczoną. Przechypte rysy Wandy Monne jawią się odtąd na wszystkich kartonach grottgerowskich cyklów. Ona jest żoną ocalałego z „Lituanji“, ona kładzie poetyckie objaśnienia na obu rysunkach po święconych dzieciom polskim: „Na chórze“ i „U grobowca Kościuszki“, ona, jako Beatrice, prowadzi artystę poprzez wojnę nawiedzony padół lez. Do niej wreszcie, bawiąc już Paryżu, chorobą płuc, biedą i gorączką twórczą trawiony, pisze precudne swe listy.

Listy te, zdaniem biografów Grottgera, J. B. Antoniewicza i Ant. Potockiego, godne stanąć bez ujemy obok Listów Słowackiego do Matki. Dokumenty te, z których najliczniejsze wyjątki podał Michał Pawlikowski w „Lamusie“, a woła Zmarłej, dopiero obecnie, po jej śmierci, w całości do druku przeznaczone, rzucą ostateczne, pełne światło na dusze piszącego i jego narzeczonej.

Jak wiadomo zmarł Grottger r. 1867 w Aix les Bains w Pirenejach. Po okrutnym ciosie, pierwszą troską panny Monne stało się zadanie sprowadzenia prochów wielkiego artysty do Lwowa. Dokonała tego własnym sumptem i staraniem, w pracy nad sobą, pięknie i sztuce szukając następnie ukojenia. Uczy się u Parysa Filippięgo rzeźby, śpiewu u Karola Delange, a liczne jej medaljony świadczą, że nie była w tej dziedzinie bynajmniej zwykłą dyletantką. Na wysokim poziomie stał też jej głos i śpiew, którym, jako pieśniarka wyłącznie zachwycała do późna.

W cztery lata po śmierci Grottgera zaślubiła Wanda Monne art. malarza, Karola Młodnickiego, jednego z gromadki drułów jak: Marejko, Maszkowscy, Punter, Jabłoński, Cynk, Grabowscy. Dom obojga we Lwowie gromadzi u siebie latami elitę świata myśli, zasługi narodowej i sztuki. Przeszli przezeń: Matejko, Ujejski, Paderewski, Henryk Rodakowski, Henryk Wieniawski, (który pan Młodnickiej dedykuję sławnego swego „Dudziarza“). Chochlik Zagórski, Wł. Stebelski, Agaton Giller, Żulińscy, Aszpergerowa, Adam Chmielowski, późniejszy Brat Albert, i

## † Wanda z Monne'ów Karolowa Młodnicka urodzona w r. 1850, zmarła zaopatrzona św. Sakramentami dnia 2 lutego b. r.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się w niedzielę dnia 4 lutego b. r. o godzinie 12 w południe z domu żałoby przy ul. Kalecza l. 20 a, o czym zawiadamia w ciężkim smutku pogrążona Rodzina.

Msza św. żałobna odbędzie się w kościele paraf. św. Mikołaja w poniedziałek dnia 5 lutego 1923 r. o godzinie 8:30 rano, Lwów, dnia 3 lutego 1923.

cały długi szereg świetnych i zasłużonych.

Zachęcana przez takich znawców jak Wł. Zagórski i Stebelski, ogłażana pisane z dużym talentem szkice powieściowe i nowele, z których najlepszą: „W półcieniach pracowni“, drukuje Miriam-Przesmycki w „Życiu“ warszawskiem. Później, poświęca się wyłącznie niemal pracy dla Młodzieży i książki jej cieszą się wśród dzieci stała, wielką poczytnością. Arcydziełem przekładu W. Młodnickiej zostanie słynny „Ekkehard“ J. W. Scheffla. Od owdowienia, żyje w domu zięcia śp. Wacława Wolskiego, gdzie, przy

córce i wnukach, w pracowitem poświęceniu niestrudzona, doczekała szczęśliwie — Polski.

Od męczeńskiej śmierci wnuka w Złoczowie, Muza „Wojny“ chylić się poczyna i niknąć. Złamana wreszcie utratą ukochanego zięcia, zamknęła po długiej chorobie, piękne do ostatka oczy. Jedną z tych, którzy mogą z słuszością powtórzyć sobie, odchodząc: „Nie całkiem umre!“

Śmierć jej okrywa żałobą rodziny: córki, Maryli Wolskiej i syna inż. Adama Młodnickiego.

Cześć pamięci niezłomnej Polki i niepospolitej kobiety!

## Wandzie Monné.

(W sztambuchu.)

Ledwie Cię ujrzał, pojąłem twą duszę,  
Jej ból zrozumiał;  
Znam wszystkie dźwięki na wszystkie katusze,  
Bom cierpieć umiał.  
Wiem, jak jest wstrętnym, kto o ranę trąca  
Zwykłym sposobem —  
Tyś wzniosła duchem, sercem bolejąca,  
Związana z grobem!  
Jedną mam radę: Kochaj bez miłości  
Cobaż na świecie;  
Grób, Tobie drogi, jest bramą wieczności —  
Tam się znajdziecie.

Lwów, 26/2 1868.

Kornel Ujejski.

## Hymn jugosłowiański.

Bože pravde, Ti, sto spasie  
Od propasti dosad nas,  
Cuj i odsad nase glase  
I odsad nam budi spas.  
Moćnom rukom vodi, brani  
Budućnosti nase brod;  
Bože spasi, Bože hrani  
Naseg kralja i nas rod!

Obecny hymn jugosłowiański jest w zasadzie dawnym hymnem serbskim z tą różnicą tylko, iż zamiast dawnego zakończenia „srpskog kralja, srpski rod“ wstawiono „naseg kralja i nas rod“, co odpowiada dzisiejszemu nastrojowi duchowemu Jugosławji bardziej niż pierwotna redakcja. Bezpośrednio po przełomie r. 1918 były usiłowania stworzenia jugosłowiańskiego hymnu państwowego z dotychczas istniejących trzech hymnów: serbskiego, chorwackiego i słoweńskiego t. zn. z „Bože pravde“, „Liepa nasa domovina“ i „Hej Slovane“, co się w praktyce okazało niezbyt fortunem, ze względu tak estetycznego jak i narodowego. — Konglomerat z tych trzech hymnów robił wrażenie zbioru pieśni o różnej tonacji i takcie, nie utrzymywał jednolitej harmonijnej powagi, skutkiem tego a co główna podkreślał troistość narodu jugosłowiańskiego, co ze względu na ogólne dążenie do stworzenia jednej duszy i jednego ducha w wolnej zjednoczonej Jugosławji było fatalnem.

Obecny hymn podnosi jedność trójimiennego narodu SHS i jest dowodem powolnego stapiania się tych trzech części jugosłowiańskiego plemienia w jedność, bez względu na dawną tradycję i różne przeszłości historyczne.

Ciekawą historję posiada dawny hymn serbski, który dzieki przypadkowi stał się hymnem państwowym. D. Djordjević (ur. w Zenice 1826, umarł w Belgradzie 1900), profesor i kierownik serbskiego teatru narodowego w Wojwodynie a później kierownik tea-

tru w Belgradzie i serbski minister oświaty, napisał allegorię patriotyczną pt. „Markova sablja“, w której znajdowały się również słowa „Bože pravde“; „Bože pravde“ jest pewnego rodzaju modlitwą, w której naród serbski prosi Boga o ochronę państwa serbskiego, narodu i króla. Muzykę do tych słów skomponował Słoweńiec Davorin Jenko, długoletni dyrygent teatru narodowego w Belgradzie. Jenko (ur. r. 1835) należy do najpłodniejszych kompozytorów z owego czasu a pozostawił on wiele utworów wartościowych, ze względu na skończony artystyczny serbskiej muzyki narodowej w nich zawarły. Nie można powiedzieć, by mu wzięcie się w narodową muzykę serbską — jako Słoweńcowi — łatwo przychodziło, niemniej jednak niektóre pieśni jego, jak: „Rado ide Srbim u vojnik“, „Dźwięczcie truny“, „Czy ty śpisz“ i t. d. jak i większe utwory jak uwertura „Kosowo“, „Król Mita“, „Król Aleksander“ pozyskały dzieki niepospolitemu zaletom ogromną popularność w Serbji. Oprócz tego napisał Jenko muzykę do słoweńskiego hymnu „Naprej“ bardzo popularnego w Serbji i u innych narodów słowiańskich, o czem świadczy okoliczność, iż wojsko pruskie przy dźwiękach tej pieśni opuściło Czechy a wojska rosyjskie zajmowały Sofję i Plewnę. (Bernstein: „Hymny sprzymierzeńców“).

Interesującym jest pytanie, skąd wziął Jenko melodię do „Bože pravde“. Już kompozytor J. Marinković zwrócił uwagę, iż melodia ta przypomina znaną w swoim czasie melodię pieśni: „Gott erhalte“ wziętej z jakiejś niemieckiej pieśni „Drei Grenadiere“. Zwrócić jednakowoż należy uwagę, że — jak to wspomina Encyklopedia muzyczna, znajdującą się w angielskim monasterze „Dom wskrzeszenia“ w Merfeld, Haydn, twórca austriackiego

Wanda Trzeciego Maja 11 Warszawa plac Akademicki 5,  
Arcydzieło sztuki kinematograficznej ostatniej doby: 618

**MILIARDERZY**

Pełne humoru, uczucia i sensacji z uroczą, nieporównaną

**Mary Pickford**

Kto nie widział tego filmu nie wie do jakich wyżyn doszła sztuka kinematograficzna.

## Gniazdo miłości

egzotyczny dramat współczesny dziś w niedzielę 4 bm. Kino Lew

**Marja Opolska**

suknie balowe, wieczorowe, salonowe 53g  
Lwów, ul. Małeckiego 9.

## Z Teatrów warszawskich.

„Pastorałka” widowisko o Narodzeniu Pańskim L. Szyllera i „Lekko-  
duch” komedia J. Szaniawskiego w teatrze Reduta.

Warszawa, w styczniu.

Wiele się usklało premier teatrów dramatycznych w okresie poświęconym karnawałowym, wszystkie lepszej treści, wszystkie godne przynajmniej krótkiej wzmianki, niektóre zaś i obszerniejszego sprawozdania.

Odkładając jednak całą resztę do summarycznego zestawienia w korespondencji następnej, obecnie pozwolę sobie na rzadką, ale tem większą radość napisania o dwóch widowiskach, które w ostatnich czasach obdarowała kulturalną Warszawę Reduta.

Po pięciu miesiącach chudych, które wskutek choroby Osterwy, niepowodzenia jednej premiery, przedewszystkiem zaś wskutek niesłychanego uporu tych szaleńców ideowców, aby nie dać niczego, co by nie było wykończonym do ostatecznych granic artystycznej doskonałości, latać trzeba było przegładem repertuarowym dorobku lat ubiegłych, przyszły obecnie czasy lepsze.

Od Bożego Narodzenia bowiem codziennie, a nawet często dwa lub trzy razy dziennie płynąć poczęła do sali Reduty fala dzieci i starszych dla obejrzenia prześlizniętej „Pastorałki”, widowiska o Narodzeniu Pańskim, ułożonego przez Leona Szyllera.

Oparta na wspaniałym zbiorze mnóstwa najpiękniejszych kolend, kolysanek i piosenek ludowych, scenicznie stała się ta „Pastorałka” w interpretacji zespołu Redutowego najczystszy, najbardziej stylowym prymitywem polskim. Doskonale zestrojone chóry nieuczonych głosów, przez pierwszorzędnych artystów zagrane sceny komiczne, niezmiernie wdzięczny liryzm, a przede wszystkim ujmująca prostota przy niepojętej różnorodności i oryginalności pomysłów, oto główne cechy przedstawienia, które wśród dzieciarni budzi wielką wesołość, u starszych zaś żywy podziw dla artyzmu reżyserskiego, zdolnego przy miniaturowej scenie i prymitywnych środkach technicznych stworzyć całość, tętniącą bujnym życiem, złożoną z mnóstwa bardzo efektownych obrazów zbiorowych, wykończoną artystycznie do najdrobniejszych szczegółów.

Nic też dziwnego, że mimo minionego oddawna okresu świątecznego „Pastorałka” utrzymuje się nadal na afiszu i grana co popołudnia wypełnia salę Reduty po brzegi.

Ledwie ucichną głosy koledników, kończących to przemiłe dziecięce przedstawienie, rozpoczyna się druga uroczystość artystyczna, dla starszych już przeznaczona. Adam, pasterze, król Herod, św. Józef i inne dostojne osoby przebierają się co tchu w świeckie szaty, miejsce żłóbka zajmują biurka amerykańskie, zaczyna się wystawiona świeżo nowa komedia Szaniawskiego pt. „Lekko-duch”.

Autora „Papierowego kochanka” i „Ewy” skłonna jestem uznać za najrozsądniejszego z polskich pisarzy dramatycznych. Dowodem bowiem bardzo rozumnej dbałości o własne utwo-

ry jest oddanie monopolu na ich wystawianie w Warszawie Reducie bez względu na tantjeme, która w innym teatrze byłaby niewątpliwie o wiele wyższa. Nigdzie jednakże utwór literacki nie spotka się z taką wielką pieczołowitością, nigdzie tak troskliwie nie zostanie zachowany każdy jego dodatni szczegół, nigdzie talent aktorski i reżyserski tak dalece nie wyrówna wszelkich niedociągnięć, jak właśnie w Reducie. Utwory zaś Szaniawskiego specjalnie są charakterem swoim do nastroju tego teatru dostosowane, to też z góry powiedzieć trzeba, że z „Lekko-ducha” podobnie jak i z dwóch sztuk poprzednich tegoż autora Reduta pod względem inscenizacji uczyniła arcydzieło, które w najpierwszym kulturalnym środowisku europejskim słusznie poszczycić się mogła.

Zerwawszy jednak na chwilę z entuzjazmem, który ma, często ogarnia, gdy piszę o zespole Reduty, scharakteryzować należy sam utwór Szaniawskiego, którego twórczość na szarem tle dzisiejszej naszej literatury dramatycznej coraz silniej zarysowywać się zaczyna sylwetką oryginalną, samoisną, jeżeli nie wolną od usterek technicznych, to w każdym razie wrogą szablonowi.

„Lekko-duch” jest tnowem ujęciem zagadnienia, które służyło za tło „Papierowego kochanka” i „Ewy”, problemem ścierania się poezji z codziennym życiem i przerażenia przeciętnych ludzi na jej widok.

Akt pierwszy przenosi nas do nawskroś realistycznego kantoru hurtowni płótna. Surowy, pozornie twardy, skąpy właściciel firmy, prokurent, siostreniec jego, marzący o dostatkach i narzeczona maszynistka, maszynistka, marząca o tem, „żeby było inaczej”, amerykańskie biurka i szaty, gdyby nie dziwna figura egzotycznego króla zdezonizowanego i nie echo jakiejś romantycznej walki o drzewa, które wyciąć chce dyrektor sąsiedniej szkoły i których broni jak jedyne symbolu swych marzeń ów wuj, właściciel sklepu płótna, przysięgłoby można, że mamy do czynienia z zawiązkami zwykłego naturalistycznego dramatu codziennych ludzkich trosk i namiętności, nic z bajką nie mających wspólnego.

Bajką rozpoczyna się w akcie drugim. Kantor przemieniony na buduar bez mebli, lecz z mnóstwem dywanów poduszek, kwiatów, lalek i zabawek, nie panuje w nim już twarda wola szefa, lecz uroczy kaprys kobiety. Do buduaru tego wpada skądś z powietrza Lekko-duch, lotnik w czerwonym fraku, duch fantazji, poezji i piękna, który całe życie przemienia w bajkę. Pod wpływem jego kwiecistej wymowy wali się na przeciąg jednej nocy cały porządek świata, moc jego sugestji przenosi wszystkich w dziedzinę uludy radości życia, pięknego śmiechu. Znika szkoła, uczniowie zmieniają się w

rycerzy, zszarzały emerytowany król znowu przywdziewa koronę i płaszcz gronostajowy, Lekko-duch z balkonu wygłasza do tłumów płomienną mowę porywając je za sobą. Znika wszystko, co jest szablonem, codziennością, nudą, udeptanym od wieków gościńcem życia.

W akcie trzecim zostaje zwyciężony. Obniża go i niszczy wiarę w jego bezinteresowną poetyckość pocałunek kobiety, która jest żoną przyjaciela. Pod strzałą mdziecinnej fuzyki uchodzić musi, ustępuje przed wszechwładnymi przedstawicielami szablonu,ładu i porządku, przed agentem policyjnym i dyrektorem szkoły. Całkowicie pokonany jednak nie jest, powraca jeszcze na sekundę promienny i woła tryumfująco „a jednak”, by potem znikawszy pozostawić za sobą błękitną smugę tęsknot za „czemś innym”.

Niezmiernie filigranowa, z najróżniejszych nitok, niciarek, pajęczyn posplatana siatka tej komedii, wśród której obok wzorów prawdziwie pięknych znajdują się grubiej namotane węzłki frazesu, wymaga niezmiernego kunsztu aktorskiego i reżyserskiego. Niech Bóg chroni każdego od oglądania „Lekko-ducha” marnie granego i szablonowo inscenizowanego. Reduta nie tylko nas od tego uchroniła, lecz nawet stworzyła widowisko, które bez chwili wahania i żadnych zastrzeżeń nazwać można arcydziełem.

Lwią częścią zasługi podzielili się tutaj Osterwa i Jaracz, z których pierwszy swego Lekko-ducha przystroił taką falą blasku, wdzięku i lekkości, że olśnił sobą salę całą, drugi zaś w drobnej jednoaktowej, epizodycznej niemal roli właściciela hurtowni zdołał wy dobyć przepiękną symfonię wzruszenia. Reszta zespołu dostrajała się w miarę sił i możliwości do owych dwóch wielkich słońc, spełniając znakomicie swe zadania i dorzucając nowy liść wawrzynu do bujnego już wieńca shwały Redutowej, tego jedyne „innego” niż wszystkie” teatru, który niby bohater Szaniawskiego zawzięta podjął walkę z rutyną, szablonem i kabotyństwem i który, mimo, że w walce tej zabłądził niekiedy na manowce zbyt jaskrawego postępu, przecie kroczy nieustannie naprzód i wreszcie zwyciężyć musi.

Jadwiga Osberger-Boelke.

## Dzisiaj 4-go RAUT STUDENTÓW MEDYCYNY

n616  
Weterynaryjnej. Akompaniament w części muzykalno-wokalnej na Raucie objęta łaskawie p. P. Sternalówna. Komitet.

## Nowość sezonu: Jazz-trott

nowa rytmika, nowe figury n617  
„RHYTMOS” Instytut tańców salonowych.  
Lwów, Grodzickich 2 I. p.

Dancing w niedziele i czwartki. Zaproszenia wydaje Zarząd 6—8 wiecz.

\* Nr. 5. „Mivell Narodowej” zawiera treść następującą: Cytaty które mówią, (a. n.). „Tragedia Madasa Fryze” — (Ad. Nowaczyński). Krakowski Magistrat. (Podwawęści). Krakowska D. U. N. P. A. przeciw Saremu. Clemens Fre reryk Hebbel o hebreokreacji (—). Kundel posta Kłapowskiego (a. n.). Haussa na Hohenzollernistów (—). Vor zimmer Wasserzug et Comp. (a. n.). Judentantura wojska Polskiego (n.). Marzenia Szolema Arscha (n.). Jak się broni „Frajer Vogel” (—). Na Czechów też się skarża (n.). Lotwa im też nie dogadza. (n.).

\* Szopka, Nr. 5 tygodnika humorystyczno-satyrycznego „Szopka” zawiera wśród treści następujące ilustracje: H. Nowodworskiego Meczestwo, K. Mackiewicz Naprawa Rzeczypospolitej idzie, Z. Akwirczyńskiego Czarna reakcja, C. Dogiela Franusz, K. Mackiewicz Rura na sposób angielski, C. Dogiela Mody na karnawał 1923 r., W. Bartoszewicza Shimmy-Danse, C. Dogiela Diogens współczesny, B. Kaliskiego Menu a la posel Barlicki diendeka-ludożercy.

Romanowiczówna Zofia

1

22/04

AP 39

45  
41

MODLITWA ZA OJCZYZNĘ:

( Z aprobatą władzy  
duchownej )

Boże wielki, Boże Ojców naszych, padamy przed Tobą na kolana dziękować Ci i prosić. Bo oto dałeś nam szczęście niewymowne, którego z upragnieniem czekało kilka pokoleń, znacząc dni swoje ofiarą i męczeństwem. Dałeś nam ujrzeć wolną i niepodległą Ojczyznę naszą. Więc dzięki Ci niesiemy najgorętsze sercem pełnem wdzięczności.

A teraz prosimy Cię o nowe łaski.

Stwórczo i Ojczyźnie nasz, otocz nas ojcowską opieką, stwórz wielkie duchy w narodzie i wielkie cnoty, daj nam wszystkim serca czyste, dobrą wolę i miłość bratnią Chryste i Zbawicielu nasz, wybaw nas ze wszystkiego zła, jakie nas otacza, wybaw od wroga, wyzwól z wad i błędów naszych.

Przyjdź Królestwo Twoje.

Duch Święty, oświecaj tych, co stoją na czele narodu, rozpal święty ogień w ich duszach, daj im siedm darów Twoich. Oświecaj, zapalaj, utwierdzaj kapłanów naszych.

Przybądź Duchu Święty.

Maryo, Matko najmiłsza i Polski Królowo, jaśniejąca

cudami w Częstochowie i Ostrej  
Bramie, nieopuszczaj Królestwa Twego i dzieci Twoich.  
—Módl się o najdobrotliwsza, módl się za nami. Amen.

Włodyka P. 2. Romanowiczówna

L. Romanowiczówna

